



WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM

W TYM NUMERZE: O PISARZACH I WŁADZY * JESZCZE O ZDZISŁAWIE MORAWSKIM * WIERSZE: JOLANTY KARASIŃSKIEJ, JOANNY ZIEMBIŃSKIEJ-KUREK, ŁUCJI FICE, KAZIMIERZA JANKOWSKIEGO, I.K. SZMIDTA, ALICJI ŁUKASIK, PATRYCJI KOPACKIEJ, KAROLA WOJDYŁY * PROZA CZESŁAWA SOBOKOWIAKA I ALICJI ŁUKASIK * KRYSZYNA KAMIŃSKA: RECENZJE I OMÓWIENIA NOWYCH KSIĄZEK LUBUSKICH * WIADOMOŚCI KULTURALNE I NA OSTATNICH STRONACH SATYRA JACKA LAUDY ORAZ WIERSZE FERDYNANDA GŁODZIKA * A TAKŻE KILKA AKTUALNYCH FELIETONÓW I KOMUNIKATÓW

Patrycja Kopacka LANDSBERG AN DER WARTHE

Miasto ciche i puste. Ludzie
przemykają jak zrzucone
z drzew jesienne liście. Szumnie
opadają na ziemię.
Czuć wiejskość tuż za rogiem, ale
poniemieckie kamienice trzymają
obraz miasta w ryzach.
Miejscami odpada farba, kruszeje tynk,
który żłobi,
można wkładać palec jak
w dzieciństwie wkładało się
palec do budki. Symbol zgodności
i ten pośpiech żeby
nie być ostatnim, nie musieć robić
karnego zadania
tak strasznego jak wołanie rodziców
wyglądających
za nami przez okno po osiemnastej,
że zaraz kolacja i mamy wracać
do domu, a przecież każdy wiedział,
że po *Dobranocce*,
w starej polskiej telewizji,
na dwór już nas nie wypuszczą.
Za ciemno, a jedyna
dopuszczalna ciemność
znajdowała nas pod kołdrą,
po zamknięciu powiek.



foto: Waldemar Kućko

Jerzy Alski BYĆ

Nie sposób odepchnąć od siebie czasu zarazy.
Nie sposób pominąć, obejść, zignorować cza-
su noszenia masek i rękawiczek, nie sposób
przyjąć, że jest to czas normalny, jak każdy
inny czas, i żyć dalej, biec dalej w hektycznej
gorączce pojmowania siebie i świata. Zaraza
nas wstrzymała, zaciągnęła lejce i wbiła mun-
sztuk w nasze wargi, nakazując pomyśleć nie
o celu, do którego dążymy, a o drodze, po
której biegniemy, i sposobie, w jaki to czyni-
my. To ćwiczenie będzie osobiste, dlatego że
osobiste są ćwiczenia każdego z nas w czasie
zarazy, dlatego że są to ćwiczenia nowe i nie-
oczekiwane, dlatego że odsłaniają każdemu
z nas dotąd mało znane obszary nas samych.

Pisuję historyjki. W październiku ubie-
głego roku oddałem czytelnikom historyjkę
o kobiecie, która zabija, jeśli kocha. Szef insty-
tutu mikrobiologii, mężczyzna ekscentryczny
i interesujący, zakochuje się w pięknej, ciepłej
i nieco swawolnej pani technik. To ona mie-
sza w probówkach i wirówkach, wyprowadza-
jąc na świat jego egzotyczne pomysły z życia
bakterii. Zdarza się błąd – powstaje potwór
zabijający pewniej niż bakteria dżumy. Po-
twora nosi w sobie ta kobieta – i zabija, tylko
nikt nie wie, że to ona, bo nikt, łącznie z nią
samą, nie zna do końca wszystkich zdarzeń
i okoliczności. Rozwiązanie zagadki sływa na
bohatera powieści, kiedy on zaczyna umierać,
skażony bakterią, którą sam wymyślił, a która
wymknęła mu się spod kontroli i zagnieżdżyła
w kobiecie, którą kocha. A ona – jeśli kocha
– zabija. Kocha go i to bardzo głęboko.

Powieść ma kilka kluczowych momentów.
Robert – bo tak ma na imię bohater powieści
– w jej trakcie ma trzy wykłady dla studen-
tów. Od stycznia tego roku wracają one do
mnie jako swego rodzaju złowieszcze wyzna-
nie wiary – nie jesteśmy bezpieczni i dziwne,



cd. ze str. 1

że dotąd niemal nikt tego nie zauważył. Ale nie dlatego nie jesteśmy bezpieczni, że nasza cywilizacja nazbyt nas od natury oddaliła, tylko dlatego, żeśmy o istocie natury zapomnieli. Co ciekawe, zapomnieliśmy, a przecież zgromadziliśmy dotąd dostateczną wiedzę, aby nie tracić czujności, aby się pilnie rozglądać, aby nie popadać w beztróskie poczucie bezpieczeństwa – jakże złudnego. Robert nie zapomniał, a nawet on potknął się potężnie.

Pierwszy wykład jest afirmatywny. *Niemal cała literatura jest zła, muzea są pełne niedobrych obrazów, ulicami jeżdżą pokraczne samochody, korzystamy z absolutnie niefunkcjonalnych smartfonów. We wszystkich dziedzinach działalności ludzkiej powstają dzieła niesłychanie różnorodne i to właśnie dzięki tej różnorodności, jak w ewolucji ożywionego świata, obok niezliczonych tworów co najwyżej przeciętnych, w każdej z dziedzin znajdujemy przynajmniej jedno dzieło będące inspiracją do tworzenia następnych.* „Przeminęło z wiatrem”, „Narodziny Wenus”, *Tadź Mahal, ferrari, no i – niech będzie – iPhone. Jak myśmy się tego nauczyli – nie wiem, ale wiem, że powtarzamy wzorzec najlepszy, bo stworzony przez otaczający nas kosmos, a jego częścią przecież jesteśmy. Wzorzec stworzony przez świat, w którym żyjemy. Z całym naszym dorobkiem – etycznym, kulturowym, technicznym – nadal pozostajemy integralnie złączeni z naturą, pozostajemy jej kontynuacją, cokolwiek by inni mówili.*

Uważam, że Robert ma rację. Za ewolucją powtarzamy kroki wiodące od pierwotnego projektu, idziemy poprzez niezliczone warianty mniej czy bardziej udane, dochodząc do tego, który na nasze „teraz” jest najlepszy. Można podnieść problem bezlitosnego psucia przez nas planety, ale nawet to w ewolucji już było, bo przecież dinozaury pozjadały własne ogony, a hipoteza planetoidy, która dokonała zagłady, dzisiaj nie jest aż tak prawdopodobna. Zatem – jeśli wyginiemy, to powtarzając błąd, który już się zdarzył. Mimo wszelkich wątpliwości uważam, że pozostajemy zrośnięci z otaczającym nas światem, w dobrym i złym.

Drugi wykład jest poznawczy. Z niego fragment i potem jeszcze kilka spostrzeżeń Roberta. *W poczuciu szczęścia zapewne niewiele nas różni od bakterii. Są to podobne mechanizmy, podobne związki chemiczne, podobne katalizatory i enzymy. Niewykluczone, że bakterie potrafią sobie niejedno opowiedzieć i nawet jeśli jest to hipoteza wykraczająca poza dotychczasową wiedzę, bardziej oczekiwałbym przeciwnika zdolnego ją obalić aniżeli zwolennika, nawet jeśli walecznego. Siła mojego przekonania wystarczy za wielu. Kolejne przemyślenie.* „Nie coś – a ktoś właśnie. Być może powinniśmy przenieść ciężar znaczeń – myślał Robert. Być może coś, co może zabić człowieka, a w swojej wielotysięcznej masie wykazuje zmyślność, wykazuje celowość działania, bo potrafi się zjednoczyć, poczekać, przycząić i zaatakować w najlepszym dla siebie momencie, to nie jest coś, a ktoś właśnie? Bo potrafi zabić samą swoją obecnością – nie robiąc nic innego, jak tylko będąc obecnym w zgodny ze swoją biologią, a dla nas morderczy sposób – sam to przerobiłem w końcu. A on jest spragniony życia, bo tak ma ustawioną biologię i wcale nie inaczej niż ja – bo ja też chcę przeżyć. Ale żeby przeżyć jego inwazję, musiałem zaangażować najbardziej wyrafinowaną medycynę, jaką znamy.

Bakterie porozumiewają się pomiędzy sobą – to już wiemy. Wydzielają do otoczenia odpowiednie substancje, tworzą zmienne potencjały elektryczne, zmieniając się, nakładają przyległe kolonie do zmian. Potrafią się zjednoczyć, przycząić, zaatakować. Działają celowo, grając na swój rozwój, swoją dominację, swoje zwycięstwo. Podobnie jak my, chcą przeżyć i to przeżyć w dobrobycie. I podobnie jak dla nas, dla nich też dobrobyt zawiera się w obfitości pożywienia. A ich pożywienie to my. Ostatnie spostrzeżenie prowadzi wprost do trzeciego wykładu – ostrzegawczego.

– *Może się tak zdarzyć – powiedział. Rozejrzył się po sali. Słuchali w skupieniu. – Stanowimy masę pokarmową. My, gatunek. Wszyscy moi znajomi z laboratorium, rozsiani po świecie, rozglądający się bez przerwy za przysłowiową kromką chleba, patrzą na nas. Dostrzegają nas niewyraźnie, jeszcze. Ale głód jest inspirujący i nieuchronnie zainspiruje któregoś z nich. Do mutacji, do współpracy, do implementacji bakteriofaga, priona, do przekształcenia siebie w tłum na placu Bastylli. My, arystokraci tego świata, niemający z pozoru żadnych naturalnych wrogów w środowisku, zostaniemy wywleczeni na plac, a tłum się nami pożywi. Nie ma dżumy? – Rozejrzył się. – Nieprawda, jest. Pałeczka dżumy czai się za rogiem. Każda bakteria może stać się dżumą.*

Komentarz? Powstrzymam się – życie skomentowało to dostatecznie.

Gigantomachia, pycha? Z drugiego zdania tego eseju: „...biec dalej w hektycznej gorączce pojmwania siebie i świata? Nawet pychy nie trzeba – wystarczy brak refleksji nad tym, co robimy. Gdybyśmy o regułach, którymi kieruje się życie – każde – choć w ćwierci wiedzieli tyle, co wiemy o łazienkach i autach celebrytów, buldożery nie wypełniałyby tysiącami grobów pól na obrzeżach Nowego Jorku – zapewne nie. A jest to naprawdę proste. Zegar planety to zupełnie coś innego niż Rolex, nawet platynowy. Planeta ma swój własny rytm, według którego powstają i giną kontynenty, rzeki zmieniają swój bieg, rosną lasy, ewoluują organizmy żywe. Powstają nowe, a te najprostsze – najszybciej. Pamiętać należy, że ożywiona ewolucja dzieje się w odpowiedzi na zmianę warunków, bo to warunki wymuszają powstawanie organizmów możliwie najlepiej do nich przystosowanych. Przypominam, podkreślony zegar planety przyspiesza zjawianie się nowych i giniecie starych. Z punktu widzenia przeogromnej większości organizmów, a z pewnością wszystkich najprostszych, człowiek jest jedynie gigantycznym obiadem – niczym więcej. Nasze tempo powodowania zmian dyktuje ich tempo adaptacji, tempo pojawiania się nowych. Bardziej odpornych i zawziętych, bardziej drapieżnych, a przede wszystkim – głodnych. Być może właśnie zostaliśmy dostrzeżeni. Czy było to nieuchronne? Zapewne należało zachować rozwagę.

Człowiek jest szczytem ewolucyjnej drabiny na tej planecie i wcale nie dlatego, że wylądował na Księżycu albo że wymyślił układ scalony czy worki do śmieci. U fundamentów wszystkich konstrukcji, organizacji, wynalazków i odkryć właściwych cywilizacji jest unikalnie ludzka umiejętność wyobrażenia sobie „co by było, gdyby” i umiejętność podzielenia się tym spostrzeżeniem z innym przedstawicielem gatunku, w sposób dla obu zrozumiały. Na tej pla-



necie nie ma innego robiącego to z taką precyzją, z taką głębią. Żadnego innego umiającego sobie wyobrazić i o tym opowiedzieć. Oto opowieść Roberta, niebawym wysiłkiem uratowanego z ciężkiego zakażenia krwi, Roberta, który stracił obie nerki i kilka razy umierał – reanimacje były skuteczne.

– *Trochę pojąłem. Oczywiście, można sobie wyobrazić skrajne cierpienie, w którym świadomie chcesz umrzeć. Tortury, rozsiew nowotworowy... Ale w przeogromnej większości nawet głęboko niekorzystnych zdarzeń czepiamy się życia zębami i pazurami. Tyle że banalna odpowiedź na pytanie, dlaczego tak jest, to teraz już za mało, przynajmniej dla mnie. Można zapewne do tego dojść i rozumem, ale szansę na głębokie pojęcie niezwykłości ludzkiego życia dostajesz w sytuacji ekstremalnego zagrożenia samego siebie. Właśnie wtedy... Ja ją dostałem na posadzce łazienki tamtego hotelu. Złamany, leżący we własnych wymiocinach i moczu cuchnącym tak, jak cuchnie tkanka zżerana przez tę bakterię. Czulem ten zapach wcześniej przynajmniej raz i przysięgam, nic dla mnie nie cuchnie równie ohydnie. Ale to ten zapach mnie olśnił i pozwolił pojąć, co łączy pozornie niezwiązane ze sobą zdarzenia... Przypadki śmierci. Oczywiście byłoby następne spostrzeżenie, że umrę za kilkanaście, najpóźniej kilkadziesiąt godzin. Właśnie wówczas pojąłem. To nie jest to, że nie będziesz...*

Kolejny raz sięgnął po maskę z tlenem. Oddychał z zamkniętymi oczami. Zbyszek czekał. Ileż musi się zdarzyć – myślał – aby zrodziła się taka refleksja, ostateczna wobec tego wszystkiego, co oni tutaj robią? W pośpiechu, nierzadko w hektycznej gorączce. Ile musi się zdarzyć, abyśmy przypomnieli sobie, po co to wszystko?

Robert odłożył maskę, otworzył oczy.

– *Nie będziesz zrozpaczony, radosny, nie będziesz cierpiący, zakochany, nie będziesz miał kaca ani wrzodów na tyłku, nie będziesz łysy albo senny. Nie będziesz w tak dosłowny i jednoznaczny sposób, że nie będzie w tobie nikt ani nic, co by o tym wiedziało. O czymkolwiek innym też. Wszelkie pojmowanie rozplynie się jak przecięte przez ciebie powietrze, kiedy przechodzisz przez pokój i pozostawiasz za sobą puste miejsce. Tylko nie będzie przeciętego powietrza, ciebie przechodzącego, ciebie pozostawiającego puste miejsce, ciebie, nawet jeśli tutaj nieobecny, to obecnego gdzie indziej. Będziesz nigdzie i nigdy, nie będziesz w taki właśnie sposób.*

Jeszcze jest czas, aby groza i przerażenie nie określały tak jaskrawo i jednoznacznie naszej refleksji – a może być i tak, że wielu z nas czas na nią nie będzie dany. Czas na refleksję, ile warte jest dla nas życie. Czas na przededefiniowanie pragnień fundamentalnych dla każdego z nas.

Alski

Fragmenty wyodrębnione kursywą: Jerzy Alski, „Ekosystem”, Wydaw. Literackie ATENA, Poznań 2019

Wiersz w „Pegazie” po raz trzeci od 2015 r. i ciągle, niestety, aktualny

Wstydzę się Panie Prezydencie

*Że już nie wierzę w Pana Boga
ot tak – zwyczajnie i bezmyślnie
że oczy skrywam róży płatkami
bys nie wyczytał w nich przypadkiem
jakichś nieprawomyśli moich
nielojalności amoralnych
– wstydzę się Panie Prezydencie...*

*Że słowa, które słowa znaczą
ubierać znów w aluzje muszę
by ktoś, nim Tobie je doniesie,
nie będzie w stanie ich wypaczyć
przeciwko mnie lecz także Tobie
gdy same wejdą już w krwi obieg
– wstydzę się Panie Prezydencie...*

*Że naród z braku wyobraźni
cofa się w jesień średniowiecza
– znów nie wychodzę na ulicę
bez tej obawy, która każe
za węglem szukać ocalenia...
patrzeć na harce kotów wolę
niż polityków, na ich gęby
gdy przy śniadaniu czy obiedzie
na siebie jadem plują wściekle
a ja nie robię nic w tym względzie
nie splunę w ekran, nie wyłączę
– wstydzę się Panie Prezydencie...*

*Wstydzę się Panie Prezydencie
że prawu sprawiedliwość przeczy
warchoł za gardło wolność trzyma
głup świątłych dziś rozumem uczy
Pan serce do narodu stracił
miast dać mu chociaż okruszynę
bo pokuszenie coraz większe
by krzyczeć
krzyczeć
krzyczeć*

*Nie będziem krzyczeć, cichaj serce
pójdziem ku nowej poniewierce*

Każda miłość ma w sobie pierwiastek egoizmu. Zakochujemy się nie tylko w obiekcie swojego zauroczenia, ale także w euforii unoszenia się ponad ziemią, którą ów stan zauroczenia nam daje. Dramat zaczyna się wtedy, gdy musimy wrócić na ziemię, gdy ktoś nas z tych chmur strąca. Ta coellicznie brzmiąca oczywistość jest tematem najnowszej książki Jerzego Alskiego pt. „Zachwyt”. Ta powieść jest jakby rewersem napisanej wcześniej „Mowy pogrzebowej”, wyjątkowo ciekawie skonstruowanej utopii, w której historia tego samego związku projektowana jest jako bardzo szczęśliwa (choć spuentowana tytułowym motywem mowy pogrzebowej). Tam jednak, w podszytej czarnym humorem i subtelną groteską fabule, Helena jest dystygowana damą, pojętną uczennicą Pigmaliona, która po pięknych latach wspólnego życia z godnością pełni honory na pogrzebie swojego ukochanego męża. „Zachwyt” z kolei można nazwać antyutopią. Jest to powieść, która powstała na fali tsunami, jakie przeszło przez życie jej narratora (bohatera-alter ego autora). Napisana z pasją, wciągająca na planie obyczajowym i emocjonalnym historia fatalnego zauroczenia starszego dystygowanego mężczyzny kobietą tego uczucia niegodną i niegodziwą, która z gracją wyrachowanej do szpiku kości „lalki-niszczycielki” obraca w perzynę nie tylko jego zachwyty, ale także pełne atrakcji, dostatnie życie, które u jego boku miała szansę wieść. Alski w swojej najnowszej, a wtajemniczeni wiedzą, że wyjątkowo osobistej, powieści porusza się na planie wielokrotnie wypróbowanego już schematu, ale tym razem bezkompromisowo obnaża fiasko, jakie taki układ musi ponieść. „Zachwyty” to bardzo udana próba przekucia druzgocącego upokorzenia w historię literacką. Wyraźnie da się wyczuć, że u źródeł tej fabuły leży prawdziwe przeżycie, i choć autor odżegnuje się od identyfikowania przedstawionych osób z realnie istniejącymi, nie mamy wątpliwości, że to, o czym pisze, znane jest mu z autopsji. Jesteśmy bowiem świadkami pieczołowicie przeprowadzonej rekonstrukcji procesu wikłania się człowieka w relację, która już u swojego początku zdradza symptomy czającej się grozy. Czytając, odczuwamy niemalą satysfakcję, że nasze przeczucie okazuje się trafne. Wiemy, czym się to skończy, ale czytamy z przyjemnością, bo potwierdzają się nasze przewidywania.

Od początku obiekt tytułowego zachwyty, Helena (antyczny rodowód imienia chyba nieprzypadkowy), zdradza pewne rysy schizofrenicznego rozszczepienia. Są tu jakby dwie bohaterki (lub jedna o dwóch twarzach). W tym miejscu chciałoby się sparafrazować spostrzeżenie Olgi Tokarczuk, która w swoim studium o „Lalce” Prusa próbuje dotrzeć do źródeł choroby zakochania Wokulskiego. Istnieją więc w tej powieści dwie Heleny – niezwykła, zjawiskowa, intrygująca, widziana przez opętanego jej urokiem narratora-bohatera oraz płaska, banalna, przewidywalna i plebejska, jaką widzi czytelnik (tu warto przywołać jedną z występujących w charakterystyce bezpośredniej sprzeczności: „najcieplejsza kobieta, jaką znałem” – „zimna suka”). Od pierwszych zdań powieści (narrator sygnalizuje to między wierszami) wiemy, że będziemy świadkami apokalipsy, i z każdym epizodem utwierdzamy się w przeczuciu, że koniec tej historii może być dla bohatera nie do przeżycia. Autor (bohater-narrator) przeprowadza tu bowiem zakrojoną na szeroką skalę wizję lokalną kilku lat swojego zachwyty. Początkowa sielanka, jak nietrudno się domyślić, zamienia się w emocjonalne

piekło upokorzenia (też samoupokorzenia), bo bohater-narrator nie oszczędza także siebie (może o tym świadczyć również pomysł przyrównania przeżytej fascynacji do historii opisaną w powieści Pierra Luyisa „Pajac i dziewczyna”). Zresztą zauważa to słusznie autorka komentarza do powieści, Magdalena Komosa-Każmierczak, stwierdzając, że autor „sam siebie kładzie tu na ruszt”.

Samoupokorzenie dotyczy tu nie tylko planu fabularnego (bohater i jego bałwochwalczy niemal stosunek do Heleny), ale także formuły narracyjnej, porażającej szczerości w przedstawieniu swojej życiowej klęski, a następnie mozolnego wygrzebywania się z ruin tego urzeczenia.

Od pierwszych do ostatnich zdań książki jesteśmy świadkami, jak bolesne może być przeinwestowanie uczuć, jak może upodlić człowieka niefortunnie zaadresowana miłość, jak demoralizujące może być dawanie drugiej osobie wszystkiego, co się ma. Zgubiła bohatera nie tyle ślepa miłość do dużo młodszego, atrakcyjnej ze względu na swoją naturalność i spontaniczność (przypomnijmy, że tak to widzi bohater) kobiety, co naiwna ufność w to, że taki związek będzie trwał wiecznie. Dlatego nie tylko Helena jest tu postacią irytującą. Również bohater może drażnić naiwnością, swoją wiarą w to, że spełniając wszelkie wypowiedziane i pomyślane za ledwie zachcianki kobiety, można zagwarantować sobie jej dożgonną miłość. Tymczasem adoracją i bezkrytycznym traktowaniem nie tylko nie rozpała namiętności młodej żony, ale demoralizuje ją

i przygotowuje sobie piekło odrzucenia, z którego tak trudno mu się później wydobyć. Współczujemy upokorzonemu Michałowi, ale w duchu myślimy: „chciałeś tego”. Zresztą taki sposób pokazania bohatera uważam za walor powieści – jedna i druga kreacja są tu doskonale zindywidualizowane i wielowymiarowe. Angażuje nas ta historia, nie możemy przejść obojętnie obok opisanego tu inferno niezasażonego sponiewierania.

Od zawsze mam duży problem z ujednoznacznieniem mojego stosunku do twórczości Jerzego Alskiego, bo wymyka się ona znanym klasyfikacjom, nie tylko gatunkowym. Powtórzę tu wątpliwość, którą sformułowałam kilka lat temu przy recenzji wcześniejszej powieści tego autora „Sherry” – nie wiem, czy jest to literatura dla średnio ambitnego czytelnika (na co wskazywałaby romansowa, dość schematyczna warstwa fabularna większości książek), czy też są to opowieści adresowane do takich odbiorców, którzy nie zgubią się w labiryncie kulturowych kodów czy aluzji. Eseistyczny żywioł w połączeniu z realistyczną drobiazgowością na miarę autora „Komedii ludzkiej” to cechy bardzo dla tej twórczości charakterystyczne. Ten realistyczny rozmach, niebywała wyobraźnia, pieczołowitość w kreśleniu detali świata przedstawionego, rozmaitość kontekstów, a także mistrzowski: barwny, ekstatyczny, a jednocześnie wyczelowany język to już linie papilarne tego pisarstwa. Alski nie tylko pokazuje nam, jak wiele jeszcze musimy przeczytać, ale także wspólnie zaspokaja naszą potrzebę przyglądania się życiu innych i odnajdywania siebie w tych historiach, niezależnie od tego, czy chcemy się z nimi zgodzić, czy im zdecydowanie zaprzeczyć.



W poczekalni życia

zdamę osobliwy test
z czasu wspomnień i pragnień jutra
zwykle „dziś”
odmieniam przez przypadki losu
zaskakującego zmiennością chwili

zbędne emocje rozmieniam
na drobne gesty i słowa
misternie zbieram drobinki szczęścia
jak szklane kamyczki
i chowam na potem
na gorszy czas
nie chcę zgubić się do końca

* * *

moje szczęście nie ma wymiaru marzeń
podarowane przez los jak zielone jabłka
skradzione w sadzie
pachnie poranną trawą
i zbudzonym dmuchawcem
kusi zuchwałą żółcią kwiatów
I soczystą koniczyną nieprzydatną do wianka
rozkołysane kolorem chabrów
domyka czas w niebiańskim uniesieniu
dopełnia ciszę wymownym westchnieniem.

* * *

uczę się żyć na nowo
zakreślając wyliczone kręgi
łękliwie
przesuwam w oknach zasłony
I z zazdrością przeliczam ptaki
których świergot znam już na pamięć
żądna odmiany i słońca
tłoczę się na przyciasnym balkonie
walcząc o pierwszeństwo bycia
ze świeżo posadzonymi bratkami
zdziwiona jak dziecko
że cisza w uszach dzwoni

inna wiosna

przyszła zastraszona i obca
niepewnie zakreśla oddech i myślenie
wciśnięta w plastikową ramę okien
dawkuje słońce
przypomina magika
jednak nie wywołuje śmiechu
jest bo czas tak chce
wnosi niepokój
zapisany strugami deszczu
na niedomytej szybie
wygłusza rytm życia
jedynie licznik rejestruje kroki
zapisuje porwane oddechy
na zastygłej twarzy
napiętnowanej smutkiem
ciszą bombarduje umysł
bez gwarancji doczekania jutra
na dobre rozgościła się w betonowym domu

STRATEGIE ZŁA

Na naszych oczach odbywa się Światowy Festiwal ZŁA. Zainteresowałam się od samego początku sprawą wybuchu epidemii, bo od kilkunastu lat obserwuję scenę budowania strategii systemu nowej jednolitej władzy na naszej planecie i nadanie mu kierunku, w jakim człowiek ma zmierzać. Zadaję sobie pytanie: Co dalej z człowiekiem jako inteligentną istotą. Od dawna intuicja i przeczucia prowadziły moje rozumowanie w kierunku zmiany tożsamości człowieka bez empatii, zamkniętego, pracującego w domu i odizolowanego od innych (moja powieść „Długa strona grzechu”). Mogę się domyślać, komu taki człowiek ma służyć, prowadzony strachem, jako supernarzędzie do zniewalania. No cóż! Nie przypuszczałam tylko, że będę grała epizodyczne role na scenie tego Teatru, którego premiera na świecie już się rozpoczęła. Myślałam, że do śmierci zdążę doczłapać, a tu okazuje się, że biorę już udział w TEATRZE MASEK. Tylko nikt mnie nie pytał, czy wyrażam zgodę na bycie aktorką bez angażu. Jako mała dziewczynka uwielbiałam brać udział w jasełkach lub z koleżankami chodzić od domu do domu po koledzie. Frajdę sprawiało dzieciom przygotowywanie masek, strojów, a jeszcze większą ukrywanie się za nimi. Zarobione pieniądze przeznaczaliśmy na słodycze, będące w moich dziecięcych czasach luksusem. Czy to nam czegoś nie przypomina? Zakładanie masek musi czemuś służyć. Dziś KTOŚ wydaje rozporządzenie i zakłada nam maskę wbrew naszej woli. To przecież celowe zamierzenia. Czemu będą służyć? Komu? Maski zazwyczaj służą do ukrywania PRAWDY. Ktoś zły, kto pociąga za sznurki, wywołuje pandemię, rozkazując nam ich zakładanie. Maski. Nie zdawaliśmy sobie sprawy, że do momentu ograniczeń pandemicznych nosiliśmy je wszyscy. Również sama je zakładałam w zależności od zapotrzebowania. To maski niewidzialne. Najczęściej ich używam, kiedy wyjeżdżam do Niemiec, by za pieniądze opiekować się starszymi i chorymi. Zakładałam wówczas maskę cierpliwości, która służyć musi przez kilka miesięcy. Choć niewidzialna, to czasem bywa, że opada i ukazuje prawdziwą twarz, niezakłamaną. Zdolności kognitywne, talent kompatybilny pozwalają mi nosić maskę jak najdłużej. Teraz przymusowo noszone maski ukazą prawdziwe nasze twarze. Nagle obserwując siebie, zauważam, jak oddalamy się na ulicy od ludzi, jak trzymamy dystans, jak się boimy, jak się izolujemy. Jeszcze trochę, a ten strach spowoduje, że nie będziemy się przyznawać do naszej rodziny. Pokochamy STRACH, by żyć. A to już TEATR PRAWDY, który dzieje się na naszych oczach, które jeszcze mamy otwarte, jeszcze widzimy, choć zamykają już nam serca sztyletem, który łatwo wbić, ale wyciągnąć nie będzie jak. W czasach kultu Majów, by zjednać sobie bogów, ofiarowywano żywe serca w darze bożkom. CI, co je wyrwali, też mieli maski. Czy obecnie KTOŚ nie ofiarowuje ludzkiej rasy, całej populacji, oprócz wybrańców, i składa nas na ołtarzu boga śmierci? Raczej bożka. Przecież w grudniu jedne z ostatnich spotkań WHO w Japonii odbywało się w budynku, przed którym stał pomnik boga Shiwy, czyli boga zniszczenia. To bożek destrukcji, manifestacja boga chorób. To bóg potęgi ZŁA. Ten bóg ma tygrysią skórę oraz cztery ręce i cztery nogi. Właśnie tam, w Japonii, zdecydowano o wprowadzeniu na światową skalę pandemii, tam padły najważniejsze decyzje o tym, jak nas, ludzkość, zniewolić. W starożytnym teatrze greckim też zakładano maski, ale tylko po to, by ludzi zabawiać. Teraz KTOŚ zabawia się nami, nakazując nam ich noszenie. MASKI. Teraz widzimy, jak łatwo nas kupić, jak łatwo nas sprzedać. Jak nie umiemy powiedzieć NIE. To też jedna z naszych masek. STRACH. Kiedy jako dzieciaki chodziliśmy po koledzie, nie baliliśmy się i zdawaliśmy sobie sprawę, że czas masek minie i powrócimy do swoich twarzy, wówczas dzieciennych, szczerzych i prawdziwych. No cóż! KTOŚ nam wbija sztylet w samo serce i chce je wyrwać, by jeszcze drgało poza ciałem. Miłość trzeba zniszczyć, aby ten przekręt się udał, trzeba założyć MASKI. Wszystkim, całemu światu, ukryć zło. Czekam, kiedy politykom ukazą prawdziwe twarze i wyjdą na jaw bolesne PRAWDY. Co wtedy zrobią? Co my zrobimy z nimi? Ile tych prawd dzieje się jeszcze za kulisami tego teatru? Kiedy z niego wyjdziemy na świeże, niezbrukane fałszem powietrze?

Berlin, kwiecień 2020 r.

CHOCHOŁOWSKA – IMPRESJE

1. Stała przede mną z kamienia.
Nie nadążałam patrzeć wspinałam się i wspinałam
kamienne schody donikąd czyli na jeszcze jedną górę

nerwowe muszki
oblatują drewniane lądowisko
w tle – szum potoku
w górze – niebo zamazane
chmurami
lekki chłód
messerschmitt-mucha
koło lewego ucha
w prawą stronę i zniknął
a ta jedna uparcie
kołuje
szkoda że
mniej jej pamięci niż mnie.

2. Oto jestem
siedzę na polanie
ściany z zielonych drzew unoszą góry.

Dolina jest nachylona i leżą na niej kamienie
siedzę przy stole zbitym z szarych desek
dokoła latają muchy taki ich los a słońce
ponad siwą chmurą udaje jeszcze dzień.

W zielonej dolinie szumi
i latają komary
coraz mniej ludzi schodzących
z pociemniałych szlaków
na horyzoncie woda
odlewa kolejne krople.

3. JA, 9 sierpnia 2009 r. 17.29
napisałam na szarym stole
w Dolinie Chochołowskiej
kto to sprawdzi
kto zapamięta
nerwowe muszki
oblatują drewniane lądowisko
w tle – szum potoku
w górze – niebo zamazane
chmurami
lekki chłód
messerschmitt-mucha
koło lewego ucha
w prawą stronę i zniknął
a ta jedna uparcie
kołuje
szkoda że
mniej jej pamięci niż mnie.

SZTUKA ŻYCIA

Nigdy się nie nauczę
widać ta sztuka omija mnie jak każda

Mogę jedynie oczy wznieść i patrzeć
jak ptaki lekko unoszą się na powietrzu.

NA PLAŻY. SENNA FOTOGRAFIA

Tak siedzieć jakby przestrzeń miała tylko dwa wymiary
Tak słuchać jakby morze strącało słone krople tuż przy
ciepłym policzku
Tak być jakby istniała nieśmiertelność a powietrze
Ciągłe dotykało takimi samymi smutnymi palcami.

A LOS LUDZKI – NA NITECZCE
dla Dagmary

jeśli chodzą po ulicach anioły
to mają roziskrzzone oczy

w dużej torbie noszą
ludzki śmiech i ludzkie łzy

późnym popołudniem
wyciągają pudełko
z zimnym obiadem
szybko muszą wracać
do swojego zajęcia

mają mało czasu
mają dużo czasu
mają mało czasu
mają dużo czasu

bo życie jest krótkie
bo sprawy są ważne
bo życie jest długie
bo życie jest ważne

jeśli chodzą po ulicach anioły
to mają uśmiech na twarzy

wiedzą
muszą się śpieszyć

są jak nitka babiego lata
co odlatuje

za wcześnie



PÓLMISKI W RÓŻOWE RÓŻYCZKI

Najstraszniej jest pakować półmiski w różowe różyczki
 leżały na nich kurze nogi paszteciki z drożdżowego ciasta
 zielona fasolka pieczony schab w żurawinowym sosie
 przetrwały kilka stołów kilka kredensów serwety w kwiaty
 i całkiem gładkie
 epoki miłości i rozpaczy łzy małych niejadków i wielkie
 apetyty
 teraz leżą w wielkim kartonie na podłodze zaraz przyjdą
 po nie jacyś ludzie
 z rozdzielnika pomocy społecznej
 Najstraszniej jest pakować półmiski w różowe różyczki

LOS

Musiałam cię odnaleźć rozpoznać odrzucić maski jakie
 narzuciliśmy sobie narzucił nam czas
 przeżuwał nas powoli poprzez dni lata naszych zadań które
 myśleliśmy że sami ale to utarte koleiny
 i my mogliśmy tylko wejść a teraz
 próbujemy wydobyć jeszcze iskrę i mówimy daj nam chwilę
 bo przecież
 dnia jeszcze na trochę wystarczy jeśli nie zapomniała o nas
 nasza krew i powab naszych zasłoniętych cieniem późnego
 popołudnia twarzy
 radość ciepłych dłoni w takim uniesieniu jak wtedy gdy
 wschodziło słońce i wypełniał wszystko biały dzień aż po
 szyję po nieskończoność
 a teraz coraz bliższe krawędzie rzeki która przywiodła nas
 tutaj

cienie naszych zmarłych modlą się za nas
 woda łagodnie obmywa ciała
 nad naszymi głowami gwiazdy.

* * *

Obudziłam się w nocy
 i tysiąc myśli przyszło do mnie
 i wszyscy których kochałam
 chciałam im opowiedzieć jaka jestem
 aby kochali mnie jaką byłam
 żeby zniknęła samotność
 i wszyscy byli ze mną
 jak ja byłam z nimi.

WIERSZE NA POŻEGNANIE

1. Zanim zapomnę o tobie
 zanim spadną deszcze wiatr się uspokoi
 zanim zapomnę jak smakuje kropla soli
 na twojej skórze
 zanim muszę znaleźć słowa
 które nazwą to wszystko utrwałą
 jak bursztyń
 pogubione nasze światy.

2. Nie rozumieliśmy naszych słów
 jakby pozamieniano języki
 jedynie nasze ciała
 one rozumiały

kiedy tańczyliśmy
 opadały z nas słowa
 i wtedy
 wargi uwolnione
 smakowały siebie

nieważne były
 wszystkie słowniki świata
 wiersze i dramaty Szekspira
 cała encyklopedia myśli
 jedynie ciepło palców
 zapach włosów
 cały wszechświat
 zamknięty
 w twoich oczach.

3. Znowu mogę zapisywać słowa
 które dławiły cię jak brudna wata
 znowu moja miłość
 może oddychać słowami
 znowu jestem sobą
 mogę być lekka
 jak skrzydło błękitnego anioła.

4. Uwolniona od ciebie
 wracam
 do miłości
 nareszcie mogę powiedzieć:
 tak kochałam ciebie
 bardziej niż powietrze.

5. Taka miłość zdarza się ptakom
 podróżującym po przezroczystrych falach nieba
 taka miłość oddycha zapachem morza
 złotym słońcem
 taka miłość.

Uwolniłam się od miłości
 mam pełne smutku dłonie
 teraz
 jestem jednoskrzydłym ptakiem
 wzlatuję samotnie nad zimnym morzem.

6. Na brązowych pagórkach sarny
 przyglądają się zieleni nieba
 biegnę ku tobie
 w czerwonej sukience
 w posypanej złotymi płatkami skórze
 jak ptaki twoje dłonie.

7. Może ten sam wiatr
 prześliznął się
 po tysiącach kilometrów
 i teraz
 na czujnej skórze
 okruszkiem piasku
 twoje palce.

8. Pisałam ten wiersz myjąc dla ciebie wannę
 ścierając kurze wybierając mięso na pieczeń
 kot przeciągał się ziewając na parapecie
 wyglądając ze mną twojego przyjazdu.

TRYZMIANOWE PIEKŁO KAZIMIERZA JANKOWSKIEGO

*Dobranoc – mówię żonie
W siatce cztery kromki chleba z masłem
i porcja sztucznego miodu [...]
Lampy pochyliły głowy
patrzą jak na trzecią zmianę
idą robotnicy
czeka Jedwab Depolana
to miasteczko stilonowskie
jest ich drugim domem („Drugi dom”)*

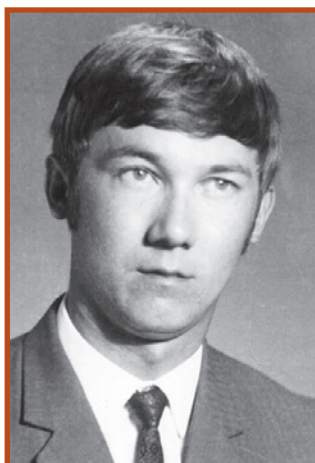
Cztery dni pod rząd Kazimierz Jankowski, podobnie jak większość pracowników Stilonu, rozpoczynał pracę o dziesiątej wieczorem, a kończył o szóstej rano. Potem dwa dni wolne. Przez kolejne cztery dni trzeba się stawiać na szóstą rano.

*Wśród krzyku rodzącego się dnia
przebudzeni zainstalowanym w mózgu
sygnałem alarmowym
z niechęcią ale nieodwołalnie
pozostawiamy ciepłą pościel
czyjeś usta otwarte
krzesło wpatrzone w ekran
by inni mogli przekazać nam
paleczkę niekończącej się sztafety
obowiązków
zrzucić drelichy
przesiąknięte spoconym kaprolaktamem
i wyjść na chwilę
odetchnąć („Mobilizacja”)*

Kazimierz Jankowski, autor powyższych wierszy, urodził się 12 V 1945 r. w Siedlcach. Ojciec jego był leśniczym. W 1959 r. zdecydował się na wyjazd z rodzinnej wsi i rozpoczęcie samodzielnego życia. Wybrał Technikum Chemiczne w Gorzowie, po ukończeniu którego od 1964 r. pracował w Stilonie jako aparatowy polimeryzacji, najpierw na Wydziale PJ I, a następnie aż do śmierci na Wydziale Naukowo-Badawczym. Nie wstydził się, że był robotnikiem.

*W tych murach
którym nie dano okien
zanim zostawimy cząstkę siebie
już jesteście inni
wydziedziczeni
z opiekuńczych darów słońca
zaprogramowani na każdy ruch zegara
lokaje maszyn
Nie wolno nam
podśluchować ptaka i podglądać chmur
Czasem tylko duch
szepciem spadających kropli
zdradzi sekret deszczu*

Przez dziesięć lat pracowałem w produkcji – powiedział w wywiadzie radiowym – ale ogromny hałas bardzo mnie męczył. Teraz pracuję na Wydziale Naukowo-Badawczym jako robotnik fizyczny. Wykonuję na maszynach prace, które zlecają mi przełożeni. [...] Moja praca polega również na tym, że chodzimy



do innych wydziałów na tzw. pilotaże. Mam wtedy możliwość obserwować wysiłek ludzi na różnych stanowiskach. („Nie jestem poetą”, rozm. Romuald Szura, „Nadodrże” z 4.11.1984 r.).

Krytyczne myślenie o warunkach pracy na różnych wydziałach wielkiego Stilonu wywołało w nim protest robotniczy z 1980 r. Maria Przybylak (także poetka zatrudniona w Stilonie) na tablicy ogłoszeń wywiesiła jego aktualny wiersz. Zwrócił uwagę kolegów.

Były to dramatyczne dni i takie też były moje wiersze. Niewiele w nich było poezji, raczej stanowiły materiał do przemyślenia. Obserwowałem, jak robotnicy je czytali, kiwali głowami, dyskutowali. [...] Cieszyła mnie grupka ludzi przed gablotą. Pojąłem wówczas, jak bardzo potrzebna jest robotnikom poezja pisana zrozumiałym dla nich językiem (z powyższego wywiadu).

Od pierwszych wierszy Kazimierz Jankowski zaprezentował się jako poeta buntu, poeta zaangażowany, by pokazać czytelnikom poetycką wizję ciężkiej pracy i codzienny robotniczy trud.

*Na spuchniętych nogach chodzą wciąż zmęczone
wokół swej maszyny, która goni wściekle
I nie wiedzą czemu jest im przeznaczone
życie w bezustannym trzymianowym piekle.
Tysiące ton przędzy przechodzą przez ręce
Dla nich nie istnieją niedziele i święta
A plan zakładowy krzyczy – dajcie więcej
Daję ile mogę. A potem jest renta („Trzymianowe piekło”)*

Szczególnie przykre są dni świąteczne spędzane nie z rodziną, nie na zabawie, a przy maszynie. Tak jak podczas „Sylwestrowej zmiany”:

*Już rytmów tanga nie pamięta
Suknia balowa więdnie długo
W tę noc roboczy strój wystarczy
Kiedys uszyje sobie drugą
jeśli nie zapomniła tańczyć [...]
Już puchną nogi
Bolą oczy
To dziki jazgot, nie muzyka
Po bruzdach twarzy łza się toczy
jak noc wyrwana z pamiętnika*

Jankowski pisze o kobietach Stilonu, bo wie, co czują. Te słowa mógłby powtórzyć każdy robotnik:

*Ile to lat w szatni przebieram się w drelich
cuchnący przeszłością niezmywalną w pralni
Ile nocy ściskam znajome pokrętła
dłużej niż potrzeba, wręcz nienaturalnie
Ile świąt minęło bez nastroju chwili
pracowitych niedziel, rocznic bez toastu*

Robotniczy trud i wymagany przez przełożonych wysiłek ponad miarę to nie tylko nośny temat wierszy, ale ukazanie nieznanego szerokim odbiorcom oblicza Stilonu. To druga strona medalu. Na pierwszej bowiem: stabilna praca i płaca, mieszkanie, dzieci w zakładowym żłobku lub przedszkolu, wczasy nad morzem, wycieczki, nagrody, medale, sylwetka w gazecie itp. O tej stronie wiedzieli wszyscy, o ujawnionej przez Jankowskiego – tylko robotnicy. A Stilon zatrudniał wówczas ponad 10 tys. ludzi.

Życie w Stilonie pokazał Kazimierz Jankowski w powieści „Oaza niepokornych”, niestety, jeszcze nieopublikowanej, za którą w 1988 r. zdobył nagrodę specjalną (równorzędną z pierwszą nagrodą) w III Ogólnopolskim Konkursie Pamiętnikarskim im. Jakuba Wojciechowskiego „Życiorys własny robotnika” (nadesłano 176 prac). Jest to zbeletryzowana jego biografia, w której szczególny nacisk kładzie na przedstawienie warunków i klimatu pracy. Obok morderczego trudu wyraźny jest tam brak szacunku dla pracownika, niesprawiedliwe przyznawanie nagród i premii, narzucanie odgórných dyspozycji, często bezmyślnych, nieodpowiadających warunkom w miejscu pracy itp. Bohater nie korzysta z żadnych dóbr socjalnych, ma niską płacę miesięczną, z trudem wiąże koniec z końcem. Za taki stan rzeczy obwinia przede wszystkim działaczy partyjnych, którzy nie dbają o robotników, a przytakują dyrekcji.

Po takiej konstatacji natychmiast muszą zrodzić się pytania: dlaczego ten system zabija człowieka i co trzeba zrobić, aby praca stała się – zgodnie z socjalistycznymi założeniami – formą samorealizacji człowieka.

Kazimierz Jankowski w 1966 r., podczas służby wojskowej, wstąpił w szeregi Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Na progu dorosłości uznał, że to najlepsze miejsce, gdzie mógłby głośno mówić o tym, co mu się nie podoba. Ale w 1987 r., czyli 20 lat po tamtej decyzji, wyznał w jednym z artykułów: „Nigdy nie byłem członkiem pokornym. W 1971 r., po bezskutecznym mówieniu na zebraniach partyjnych, napisałem list do ówczesnego I sekretarza KC PZPR. List wrócił do POP i przeżyłem piekło na ziemi. Pomimo interwencji Komisji Kontroli Partyjnej szczebla powiatowego stałem się zwierzęciem łownym. Myśliwych było sporo i nie pozostało mi nic innego, jak zmienić miejsce pracy. Dopiero później dowiedziałem się, że zmieniono kilku kierowników, sekretarza POP itd. To już historia. Wracam do niej tylko po to, aby udowodnić, że nigdy nie byłem i nie będę członkiem statystycznym i milczącym” („Za dużo biurów”, „Życie Partii” 1987, nr 11).

Kazimierz Jankowski do końca pozostał członkiem PZPR. Solidarnościowy zryw przyjął najpierw z dystansem, a potem z coraz większą dezaprobatą. W jego ocenie miejsce jednych „białych kołnierzyków” zajęli inni, równie jak tamci butni w stosunku do robotników, równie wszystkie korzyści ciągnący tylko dla siebie. A jemu nie o to chodziło:

*Wrosli świadomie w te fabryki
Tu ich z nadziei czas okradał
gdy na przynętę obietnicy
krętacz kupował ufne stada
Już w nic nie wierzą
Nie czekają
Jątrzą się rany
Swędzą blizny
Trzeba pokoleń by rozbudzić
miłość do matki ich – ojczyzny
Trzeba z uporem już od dziecka
leczyć ich prawdą
zamiast mącić
by odrzucili gest przekory
i odnaleźli to co łączy („Kuracja”)*

Ponieważ nie wszystkie przemyślenia dawały się zamknąć w poetyckich strofach, zaczął pisać artykuły publicystyczne. Kierował je najpierw do „Stilonu Gorzowskiego”, pisma czytane przez koleżanki i kolegów. Ten nurt rozpoczął od scenki z życia. Wartownicy nie pozwolili wnieść na teren zakładu kwiatów, któ-

re miały być imieninowym prezentem dla solenizantki. Takim promykiem słońca w fabrycznej codzienności. Zapytał: dlaczego? Zakaz cofnięto, autor odniósł sukces. Potem pisał na niemal każdy temat. Był to czas powszechnych dyskusji, redakcja otworzyła łamy dla wszystkich, którzy chcieli poprawiać świat. Artykuły Jankowskiego ukazywały się w rubryce „Z robotniczego punktu widzenia”. Jeden z pierwszych jego artykułów opatrzone notą od redakcji: *Publikujemy rozważania naszego czytelnika w całości, co wcale nie oznacza, że się z nimi w pełni zgadzamy. Chcemy, aby wywołał on dyskusję wśród czytelników „Stilonu Gorzowskiego”. Nasze łamy są dla niej otwarte.*

Kazimierz Jankowski związał się z Robotniczym Stowarzyszeniem Twórców Kultury, organizacją w latach 80. bardzo wspieraną przez partię. Miała ona swoje oddziały w wielu miastach, pod jej szyldem wychodziło kilka tytułów prasowych, organizowano wiele spotkań, sympozjów itp. Jankowski stał się jednym z krajowych liderów tego ruchu, jego wiersze wydrukowano w 20 pismach, były w radiu i telewizji. Nawet prof. Bogdan Suchodolski, przewodniczący Narodowej Rady Kultury, zapraszał go na Spotkania Zamkowe, podczas których dyskutowano o kulturze narodu. Kazimierz kreował się na przywódcę i trybuna robotników. Jerzy Woliński wspomina: Był to spektakl wstrząsający. Odbył się w 1988 r. w Lubniewicach na warsztatach. Autor czytał swój poemat „Robotnicy”, stojąc na przyczepie traktora. Słowa poematu nie tylko poruszyły widzów, ale również niebios. Nadeszła burza i lunął rzęsisty deszcz. Z powodu tej burzy, choć była nieplanowana, zrodził się mocny, przejmujący spektakl. Oto fragment poematu:

*Robotnicza klaso! O wielcy bogowie!
Zdepczemy pająka. Niech przemówi człowiek
szczerze i troskliwie. Słowem niekochanym,
bo tak w życiu trzeba. Wyboru nie mamy.*

Z łam czasopism wiersze weszły do tomików: „Apelacja” – wiersze (Gorzów 1983), „Robotnicy” – poemat (Poznań 1987), „Słowa niekochane” – poemat (Poznań 1988), „Napięta struna czasu” – wiersze (Gorzów 1989), „Słowa w drelichu” – wiersze (Gorzów 1992), „Przyjdź pod fabrykę” – wiersze (wydanie pośmiertne, Gorzów 1996). Opublikował ok. 200 wierszy na łamach pism: „Stilon Gorzowski”, „Ziemia Gorzowska”, „Własnym Głosem”, „Twórczość Robotników”, „Nadodrże”. Otrzymał ponad 50 nagród na różnych konkursach poetyckich, a także podczas Warsztatów Literackich w Lubniewicach.

Kazimierz Jankowski był przekonany, że jedynym lekarstwem na kłopoty ludzi jest prawda. Coraz silniejszy w jego twórczości stawał się ton moralizatorski: uważał, że gdyby wszyscy pracowali uczciwie i dawali z siebie jeszcze więcej, na pewno byłoby lepiej. Nie widział uwarunkowań politycznych, wierny był ideologii partii. Najpełniej swoje poglądy wyraził w wywiadzie pt. „Nie mam żadnych bogów”:

*– Nie zwątpił pan w partię?
– W partię – nie. W wielu ludzi – tak. Ideologia PZPR jest potrzebna, jest naszą jedyną szansą. Niejednokrotnie w swoich tekstach pokazywałem bagno partii, które się rozpanoszyło. Partia straciła zaufanie, bo ludzie potrafią patrzeć. U nas w zakładzie było tak samo i nadal nie jest dobrze. Partia powinna być aktywna, walcząca, powinna z własnych szeregów eliminować ludzi nieodpowiedzialnych.
– Pewnie ma pan gotową receptę na uzdrowienie.
– Jak najwięcej ludzi powinno się włączyć w stawianie Polski na nogi. Ale ja nie wierzę w radykalne zmiany, bo jest mała aktywność robotników. [...]*



– Czas się zmieniły i niewiele osób mówi z entuzjazmem o partii. Czy pana poglądy nie sprawiły, że jest pan nie lubiany?

– Wiele osób mówi mi: „Jakbyś nie był w partii, to byłbyś fajny chłop”. Jeżeli jestem nie lubiany, to z tego powodu, że reaguję natychmiast, że mówię to, co myślę. Wobec siebie czuję się w porządku. Poglądy kosztują, ale ja nie mam nic do stracenia. Gdzie mogę niżej spaść? Powiedziałem, że nie mam swoich bogów, że robię to, co uznaję za stosowne. Oczywiście we wszystkim trzeba mieć umiar. Niektórzy idą za daleko. Na przykład to, co się dzieje w kraju, przyprawia o zawrót głowy. Wielu słucha nie tych, co trzeba. Ale z drugiej strony wynika to często z tego, że ludziom nic się nie proponuje. Mógłbym to wytknąć naszemu komitetowi, a także organizacji młodzieżowej. [...]

– Czy pana pisanie coś zmieniło? Czy pan coś załatwił, poprawił?

– Nic. Widzę tu raczej bezsens mojej pracy.

(„Stilon Gorzowski” 1988, nr 24)

Coraz rzadziej na łamach „Stilonu Gorzowskiego” ukazywały się moralizatorskie rozważania Kazimierza Jankowskiego, bo pisał coraz rzadziej, a i redakcja nie widziała sensu w wiecznym pouczeniu. Historia pokazała, że droga, którą wybrał, była mylna. On nie uwierzył w „Solidarność”, nie zobaczył, że niosła to, o co walczył: przede wszystkim godność robotnika.

O twórczości Kazimierza Jankowskiego tak napisał Zdzisław Morawski we wstępie do tomu „Słowa w drelichu”:

Poeta o dużej wrażliwości lirycznej, który do uprawianego nurtu poezji wnosi własny ton. Jego autorska odrębność zawiera się w wyjątkowej zgodności poetyckiego obrazowania z tym, co nam przedkłada. Jankowski nie jest w fabryce gościnnym spacerowiczem. Wśród wirujących szpul stilonowej przędzy jest obecny całą swoją osobowością, jest człowiekiem z wnętrza fabryki. W wierszach Jankowskiego jest poetycka temperatura, jakiej nabawił się przy obrabianiu polimeru. Píše o fabryce i o ludziach fabryki nie tak, jak pisali socrealiści. On pisze o bólu, jaki praca zadaje, o tym, że uszlachetniając materię, w procesie jej przetwarzania robotnicy często wychodzą okaleczeni, a może nawet upokorzeni zabijającą monotonią maszyn. Jankowski, zapisując stan rzeczy, odkrywa go i osądza, a swój osąd tak uwydatnia: „gdy kobieta starzeje się szybciej od maszyn, umiera fabryka”.

Kazimierz Jankowski zmarł 30 czerwca 1993 r. na zawał serca. Miał 48 lat. W ostatnich latach przestał pisać, popadł w nastrój depresyjny. Pochowany jest na cmentarzu komunalnym w Gorzowie.

Krystyna Kamińska

17 LAT OD ŚMIERCI POETY-ROBOTNIKA KAZIA JANKOWSKIEGO SWÓJ GŁOS „DO RZĄDZĄCYCH” OPUBLIKOWAŁ NA BLOGU INTELEKTUALISTA, GORZOWSKI PISARZ I MYŚLIBORSKI LEKARZ, JERZY ALSKI.

Mam 68 lat, z zawodu jestem lekarzem, a także pisarzem. Pracuję w pełnym wymiarze godzin, również w ostatnim okresie. Codziennie mam kontakt z kilkudziesięcioma osobami, przeważnie chorymi, a zaledwie ocieram się o pierwszą linię starcia z epidemią. Wieczorami piszę; jak dotąd dbam, aby poziom moralny moich bohaterów i bohaterek był co najmniej przeciętny. Nie mam złudzeń co do natury człowieka – jest ona ani dobra, ani zła. Najczęściej jest przeciętna: jeśli będę mógł – pomogę, jeśli będę musiał – skrzywdzę. Klasa polityczna przyzwyczaiła mnie do tego, że jej przedstawiciele rozumują inaczej: jeśli będę mógł – skrzywdzę, zaś dopiero jeśli będę musiał – pomogę. Przez 68 lat nie oglądałem niczego innego wokół siebie i przywykłem, tak jak przywykli inni. Moje pragnienia w relacji do rządzących są niezmiennie od lat – aby nie przeszkadzali, aby nie tworzyli kolejnych zagrożeń, abym – nie przywalany kolejnymi głazami kolejnych obowiązków i powinności – zasypiał spokojnie i budził się z uśmiechem.

Ostatnie kilka tygodni to doświadczenie szczególne – a mnie jest ono znane bez pośredników. Epidemii znamy wszyscy, natomiast jej konsekwencją staje się – nie zawsze zauważany i często ignorowany – narastający poziom irytacji, lęku, niepokoju, poczucia zagubienia i zagrożenia. Wszystkie te uczucia – a są one narastające – negatywnie wpływają na przebieg chorób. Wszystkich, tych znanych od dawna i tych zupełnie nowych. Wszystkie bez wyjątku choroby ujawniają się łatwiej i przebiegają ciężiej, jeśli w ludziach dominują uczucia negatywne. Spodziewałem się, że rządzący chcąc – co dla mnie było oczywiste – opanowania epidemii szybciej i mniejszym kosztem, skłonią się ku słowom i poczynaniom uspokajającym, tonującym, zmniejszającym poziom niepokoju. Moje oczekiwania były błędne i nie jestem w tej opinii osamotniony.

Nie oczekiwałem od rządzących nadzwyczajnej pomocy. Nie oczekiwałem natychmiastowego uzupełniania braków w sprzęcie ochronnym – wiem, że często było to niemożliwe. Nie oczekiwałem przebudzenia się rządzących i dostrzeżenia zagrożenia we właściwym momencie. W środowisku przygotowania do epidemii rozpoczęły się kilka tygodni wcześniej, kiedy rządzący jeszcze wypowiadali się o wirusie lekceważąco, wręcz prześmiewczo. Nie oczekiwałem właściwie niczego, doskonale zdając sobie sprawę, że nie mając ani szczepionki, ani leku, nie pozostanie nam nic innego, jak powtórzyć działania doktora Rieux z „Dżumy” Camusa – co się stało. Ale nie oczekiwałem również bezprzykładnego, niemoralnego i haniebnego – szczególnie w tym okresie – podnoszenia poziomu lęku, irytacji, poczucia zagrożenia.

Już nam zaszkośliście, bo spokój jest gwarantem ujęcia cało choroby. Już nam zaszkośliście swoimi publicznymi sporami o rzeczy w obliczu epidemii tak nieważne, jak nieważny jest jeden ogryzek wobec całej plantacji jabłoni. Już nam zaszkośliście, wciągając nas w te spory, dzieląc nas w domu i w przestrzeni publicznej. Wasze postępowanie jest więcej niż niemoralne, jest haniebne. Ale nie poprzestaliście na tym – rozpętaliście batalię o termin wyborów prezydenckich. Waszych wyborów – bo nas traktujecie jak rzeczy mające dać głos, w trakcie epidemii. My już w wielu wypadkach chorujemy ciężiej, infekujemy się częściej, bo frustracja nie sprzyja zdrowiu. Za chwilę pod przymusem nakazecie albo stworzenie jakichś komisji, albo batalionów roznoszących po domach koperty, albo zmusicie nas do ślęczenia nad komputerami z zawieszającym się w kółko programem wyborczym. To są żywi ludzie, nie rzeczy – ci, którzy będą to robić: roznosić, odnosić, głosować. Oni są ciągle jeszcze żywi, a wielu z nich nieuchronnie zachoruje i niejeden stanie się martwy, jeśli będą krążyć w przestrzeni publicznej, a za nimi wirus. To jest już nie tylko niemoralne i haniebne – to jest w samym zamiśle zbrodnicze. Przez wiele tygodni, może miesięcy, dla nas wszystkich – tu, na dole – jedynym celem będzie nie zachorować, a jeśli już, to przeżyć. Wszystko inne jest nieważne. Stary czy nowy prezydent ani nikogo nie wskrzesi, ani nie uzdrowi. Nie przeszkadzajcie, proszę – przynajmniej tyle.

Stacja V WEDŁUG HERODA

Milczysz.
Powrozami, widzę, spętanyś, ale gorzej
Wzgardą.
Stanałeś, Synu Boży, tu na moim dworze
Jasnym
Jak pobielany grób
– twoich dobieram słów –
Serce miga ci w piersi jak miecz albo stos.
Przepadł w mroku przekupiony tłum.
Uciec byś mógł.
W dole u twoich stóp
Pustynia błyszczy.
Kapitan straży trzyma klucz do turmy i do bram.
Uczyń mi cud.
Z jakąż ulgą
Klucz do pustyni ci dam.
Cudu – wiesz? – czasem niby miłości czuję głód.
Masz tutaj burnus podróżny i grosza wór, i masz ten klucz!
Uczyń mi cud.
Ach, nie chcesz na pustynie? Wiem, noc, bezdroża.
Szaleństwo kwitnie w piaskach, ćmi głupców mirażami.
Widziano piramidy i krzaki gorejące na gołoborzach
I ludy maszerujące... dziesięciolecia.
Tam kusi wszystko.
Chcesz, zostań tu. Dam ci eskortę!
Greckich piechurów stu. Moją rękojmię.
Klejnot dam. Modry niby wyschnięte w upałach lapisy.

Wybierz sobie bezpieczne nazwisko –
Będziesz tu... Sybarytą albo kupcem, powiedzmy,
damasceńskim?
Nikt cię nie tknie. Oni wystrzegają się cudzoziemców.
Dam ci komnatę usłaną dywanami, falerna przed snem.
Pensję. Kobiętę pozwolę sprowadzić szpikenardami
wonna.
Czy ja wiem? – czego zapragniesz!
Ośmiel się. Mów.
I uczynić cud.
Pojmij, niczego nie pragnę tak namiętnie,
tak wbrew wszystkiemu!
Miałem tu kiedyś proroka. W cysternie.
Z pustyni go wzięli. Ale milczał niemiłosiernie,
Cęgami kat zeń rwał tę jego świętą wiedzę.
A prorok?
Tylko potwarz publiczną w czas uczty obwieszczał!!!
Ciebie nie będę zmuszał. Ty dobrowolnie zechcesz.
Tamten, by posąg bożka, nieczuły,
Wieścił, że nad Genezaretem człowiek jakichś umarłych
Śmie z grobu wskrzeszać.
Ale ty mi tu patrzysz rozumnie.
Ty uzdrawiasz i do wyroków legalnych
Się nie mieszasz...
Czemu oni cię – tu? Och, twoja sprawa.
Ja wybaczę ci zbrodnie. Uczynić cud.
Całe życie patrzyłem cudu. Żrenice mi wyschły,
Pył pustyni oślepia. A przecież zawsze tuż-tuż
Było coś,
Czegom nie mógł, jak żyły z kamienia, wywlec.

Ten prorok tam w cysternie? Lud wierzył w jego głos.
Też pragnąłem uwierzyć. Słuchałem,
Była taka noc, żem pościć chciał, głowę popiołem posypać.
Tak! Dobrze to pamiętam. Z Rzymu przyjechał wtedy nowy
Namiestnik. Ucztę wydać musiałem.
Jak pościć? Wszyscy kapłani Jehowy
Prześcigali się w koszernym obżarstwie.
Tańczyły dziewczki bosonogie, Nubijki,
A namiestnik zdjął gruby naszyjnik
Krwawnikami sadzony, szafirami,
I dał!
Odrzucić miałem zaszczyt?
Nic.
Tylem chciał tylko rzec, żem głodny
Cudu.
Uczyń cud i odejdziesz wolny
Do swoich uczniów.
Milczysz.
Wiesz, jam zwyczajny gadać do głuchych.
W cysternie prorok siedział, zachodziłem tam jakby
wbrew
Rozumowi,
Sam zachodziłem. A mówią, żem... nieufny...
Że się własnego cienia...
Wszystko wiedział! Wszystko mu głośno wyznałem.
Ten prorok nie miał sumienia.
Domagał się, abym porzucił tetrarchię.
Bym żonę wziął, pasierbice, i razem
Pieszono nad Genezaret.
Że tam jest łaska.
Wcielony
Bóg.

Z pragnienia na pustyni o mało nie umarła mi niewiasta.
Kto zbudował ten pałac tak głęboko w milczących
piaskach
Bez żadnych dróg?
Bo bite drogi są. Owszem. Naród
Koso tu patrzy. Jak gdyby sam
Przykazań dziesięciorga nie szargał przy byle okazji,
Ten prorok Jan,
Ale mnie tylko wytknął i nazaczył!
Żona uciekła z pustyni ręce zacisnąwszy na uszach.
No, jakoś z tego wyszła. Cichsza była, ale szaleńsza,
jej córka.
Pilnowano jej potem.
Tak ją w bezludzie odtąd ciągnęło, jak w ziemię,
Jak w dzieciństwo.
Płacić musiałem, rozumiesz, za każde jej spojrzenie
czy uśmiech –
Salome zapragnęła być niewinną!
Wiesz, dałbym ci ją dziś. Słowo króla, że dałbym.
Tobie albo mej gwardii. No, mów tam, czego chciałbyś.
Starczy mi jeden cud. Toż nie trefnisia
Chcę sobie zrobić z ciebie.
Jeden jedyny cud. Och ujrzyć, czego tak bez ustanku
dotykam
Zawsze jak ślepiec.
Daj cud.
Nie ubędzie ci tej... charyzmy.
Z gwiazd bije chłód.
Ten taras nad pustynią jest jak blizna
Po jakiejś ranie. Niezagojonej, proroku, ropiejącej

W kipieli słońca.
Upału martwe kolumny, kudłate kapiteli ornamentem
W leje piasku padają z hukiem. W moim łożu
znaleziono dziś węża.
Płowa
Bładość tej ziemi.
Głowa węża na lancy się rumieni
Jak z miedzi.
Targować się z tobą nie chcę.
Komornik odliczy ci naleźność.
Daj cud?... Ja mam gest.
Monetą moją głowy potrafią być. I to święte.
Mów, czyjej głowy chcesz: zatknę ją wraz z łbem węża,
Choćby to miała być głowa Herodiady.
Uwierz, że ja mam dla ciebie cześć,
Na tacy wszystko ci mogą znieść
Moje raby.
Nie wierzysz mi.
Mówią, że wiary ojców nie pojmuję. Oszczęstwo.
Wyłożę ci mą wolę tak, iż poznasz, żem w Piśmie
Nietępy.
Otóż, wozem ognistym
Z tej sali kolumnowej wzbić się mogę w niebo jak
Eliasz. Umiałbyś tak wóz?
Cieśli ci dam, bednarzy, kołodziejów,
Rymarzy, koleśników i dekoratorów lektyk.
Nie? To inny uczyń.
Rozmnażałeś ryby i chleb. Z żoną nie mamy dzieci.
To ciężki grzech,
ciężki.

Widzisz, jak tron Judei zionie pustką. Daj nam syna.
Twoje nadamy mu imię.
Będziesz jego piastunem. Palatynem!
Nie? To jakikolwiek cud.
Tu, na tej szacie plama: niech zniknie brud!
Niech zniknie ta moneta! – Nie, cesarski na niej wizerunek,
poczekaj, to fatalnie można by zrozumieć.
Niech zniknie... tamten zydel! Lub niech mu się zmieni
ornament!
Proroku, byle magik coś takiego by potrafił.
Nie. Nie chcę
Cudów płaskich. Tu na targu
Są połykacze ognia. Zabraniam im wstępu do pałacu.
Kiedyś Syryjczyk jeden, młody,
za długo został.
Na zawsze został.
Uczyń, bym żonę mógł kochać wiarołomną,
Bym ufał jej... Och, wszystko jedno.
Niech robi z siebie, co tam chce! Przysięgam ci
bezpieczeństwo
Od chłosty nawet.
Zwyczaj tu chłostać dla przestrogi.
Uczyń cud.
Wyjdiesz wolny.
Zimno.
Księżyc błyszczący jak los. Ten kraj nienawidzi nas obu.
Jan też mnie nienawidził. Pouczal! Słuchałem z pokorą,
Siadałem tam przy furcie, i zielony brząz
Rzeźwił. Jan milczał.
Więc go ubiczowano. A dalej cichy był. Myślałem, że może
Mnie ochrzci.

Co w końcu za różnica, czy z Jordanu,
Czy z mej pustyni woda czerpana na ten chrzest?
Kaźda woda w skwarze znika tak samo.
Gór tutaj tylko mniej i skał. Wiatr jest ten sam.
Uczyń cud. Niech wiatr przestanie dąć.
Niech ziemia się nie kruszy. Uczyń cud jaki bądź!
Mówią: jesteś żydowski król. Jam także Żyd
I król.
Potomka nie mam, ostanie pusty tron.
Mogę cię usynowić. Mają obcy kraj odziedziczyć,
To lepiej ty.
Ja hojność znam.
I umiem ugasić swe kaprysy ludzką krwią.
Och, cokolwiek uczyń!
Nie lękaj się zakazów prawa. Nawet – wskrzeszaj.
Mam w lochu dość skazańców, i dość mi palcem
ruszyć, do woli będzie zmarłych.
Ja nawet ich z wyroków rozgrzeszę.
Niech idą precz. Bierz ich sobie.
Uczyń cud.
Jakikolwiek.
Czego właściwie chcesz? Mi wszystko jedno.
Cudu, tylko o to z całej duszy błagałem.
Nieprawdą są oszczęstwa! Kto na tej ziemi jest
bez grzechu?
Nie grzebię w twoich zbrodniach, człowieku.
Dobrze. Skazałem tamtego proroka. Chciałem!
Wola władcy.
Nikt tu w stolicy nie stanął w jego obronie!
Lud się jątrzył, ale zbrojnie nikt nie wystąpił,

Pozapierali się Jana najlepsi jego uczniowie,
A kapłani mi po cichu rzekli –
Że dobrze.
Wola władcy
Jest wolą ludu. Rzymianin powie: Boga
W mojej tetrarchii.
Ty ilu uczniów masz? Dwunastu?
I co? – pokryli się po kątach.
Plebs gwarzy o ożenkach, o podatkach.
Wołano cię mesjaszem po lat czterech tysiącach
Objawionym – a nikt coś nie sarka,
Że zostałeś zatrzymany jak zbrodniarz?
Dam ci pewniejszych uczniów. Zbrojnych apostołów
kohorty.
Karnych.
W mojej mocy. I strażom każę ludzi biczami
spędzić
I w biały dzień
Plac przed Świątynią się zapełni
I – tobie
Oddadzą cześć.
Nie zechcą? Eee, oddadzą.
Faryzeuszów zniszczę. Sam głosiłeś im potępienie.
To święta racja, proroku.
Mam łaski u cezara. Niech Rzymianie podłożą
płomienie, nasi pogrom od pogan łacniej zniosą
I razem
Zwalimy Świątynię w Jeruzalem.
Daj mi cud
I będzie,
jak przepowiadałeś.

Ludy ziemi,
 Na mój królewski znak, pod butem moich oficerów
 I z przyzwoleniem boskiego Imperatora – tobie oddadzą
 hołd.
 Trzeba nareszcie zetrzeć z ziemi to gniazdo szerszeni.
 A nie poskapię na żołąd.
 Z nawiązką dam. A wyczerpie się skarbiec –
 Stracę w kopalni.
 Dam ci wszystko. Ziemia jak krwią się obleje
 Twoją religią.
 Znaj słowo króla i pana tej ziemi.
 Zdradzono cię. Chciwość ludzka wiadoma rzecz.
 Ale teraz zadbają moje szpiegi, by żaden z twoich
 wiernych więcej nie śmiał...
 Ja tobie dam mych zaufanych wmieszanych w ich szeregi.
 O wszystkim będziesz wiedział w czas.
 Nigdy więcej zdrada nie wstąpi na twój próg.
 Będziesz spokojny jak Bóg.
 Uczyń mi cud.
 Uczyń. Salome miała oczy zielone jak skarabeusze,
 Powieki złote od antymonu.
 Szła, ot, tymi schodami i patrzyła tak prosto w duszę
 Jak ktoś, kogo sparło spojrzeć do wnętrza grobu –
 A mówię ci, że bardziej
 Cudu pragnę.
 Uczyń. Ja będę miał
 Ujrzyć ten cud odwagę.
 Uczyń. Ja mogę zostać twoim pisarzem. Talenta mam
 niepoślednie.
 Namiestnik raz cesarski podziwiał moją poezję.

Tutaj gusta są barbarzyńskie. Sztuka
 Umarła.
 Ja także bogactw próżnych ani chwały dla siebie
 nie szukam,
 Będę twym bardem!
 Znużony jestem.
 Władza mi ciąży w tych sinych piaskach jak ziemi
 kopiec.
 Daj mi cud. Ja tobie skomponuję trochę.
 Elegię. Odę.
 Daj mi cud
 I odejdz.
 Nie igraj.
 Tutaj znoszą prorocze głowy krwią pobryzgane
 jak wieprzów,
 Gdy tego zechcę.
 A beze mnie na krzyżu
 możesz zdechnąć,
 Znasz Sanhedryn.
 Więc – Ruszaj!!!
 Ty... wypiłbyś ze mną za... cud?
 Bierz ten puchar!
 To wypij żółć.
 Wołać faryzeuszów.



OD OTCHŁANI DO OTCHŁANI

Wrocławska poetka, eseistka i tłumaczka Urszula Małgorzata Benka, ceniona w pokoleniu Nowej Prywatności, autorka słynnego debiutu „Chronomea” wyróżnionego prestiżowym Medalem im. S. Grochowiaka, wydała właśnie, po wielu latach przerwy, swoją ósmą już książkę poetycką. „Pasja Jezusa z Nazaretu” to psychologicznie pogłębiona literacka konkretyzacja ewangelicznej historii pojmiania, sądu i śmierci Jezusa. Jak celnie zauważa w słowie wstępnym Piotr Lamprecht, książka ta jest zaproszeniem do wejścia w świat mitu i baśni, ale wbrew temu, co może sugerować tytuł, nie jest poematem o ambicjach dzieła teologicznego, lecz „próbą lirycznej inkarnacji postaci z Pisma”. Ożywione w pasji Urszuli Benki postaci, których perspektywę w kolejnych czternastu stacjach poznajemy, to między innymi: Jakub, Judasz, Herod, Łotr, Weronika, Magdalena, Józef z Arymatei, Łazarz. Mamy też możliwość wsłuchania się w głos jerozolimskiej tłuszczy, która komentuje okoliczności wydania przez Piłata wyroku na Nazarejczyku. Ten zabieg kompozycyjny wpływa na uteatralnienie zbioru i daje wrażenie wielowymiarowości pokazanego tu świata. To mocno nasycona ekspresją scena, która wprowadza do poematu wątki realistyczno-obyczajowe. Jazgot tłumy i polaryzacja nastrojów mogą nasuwać skojarzenia z dzisiejszymi społeczeństwami. Benka pokazuje, że opowieść sprzed dwóch tysięcy lat jest nadal aktualna i każdy z nas może zagubić się lub odnaleźć w tej znanej historii. Burzy spetryfikowane interpretacje jerozolimskiego mitu, rozbija, jak to ujął Lamprecht, nasze „miraże transcendencji”.

Przywołane tu perspektywy cechuje wyraźne dążenie do uwolnienia z ujęć schematycznych: Jakub nie jest tu wiernym uczniem, lecz uciekającym w sen czy zwątpienie profanem, monolog Judasza poraża głębią rozpaczliwej refleksji (jego oskarżycielski ton przypomina pewien znany liryczny apokryf Staffa), Weronika umniejsza swoją rolę, odżegnując się od świętości:

*Iść tamtędy musiałam, bo musiałam.
 Przecież nie ja tę drogę wybrałam [...]*

*A Boga dotknęłam, bo niczego
 Nie spotkałam w swojej drodze innego*

/Stacja VII według Weroniki/

Jednak centralnym punktem zbioru wydaje się być STACJA V WEDŁUG HERODA, którą buduje żarliwy, pełen rozgoryczenia i bezsilnej rozpaczliwej monolog władcy skierowany do skazanego na śmierć Jezusa. Benka fabularyzuje tu znany z Ewangelii św. Mateusza epizod spotkania Heroda z Jezusem, podczas którego, jak czytamy w Piśmie, król podejmował uporczywe próby nawiązania rozmowy z Jezusem. Jezus nie odpowiadał na pytania, co rozwścieczyło władcę i sprowokowało do upokorzenia skazańca. W książce Benki Herod przedstawiony został jako sprytny manipulator, autokrata, który próbuje nakłonić Nazarejczyka do działania cudu, który mógłby umocnić jego władzę. Posługując się wyrafinowaną



retoryką, obiecuje mu nie tylko ułaskawienie, ale liczne profity. Jezus dumnie milczy, nie godzi się na współpracę z tyranem i podobnie jak bohater Herbertowski za tę nieugiętość nagrodzony zostaje chłostą upokorzenia. W staraniach Heroda, by zjednać sobie Jezusa, uwidacznia się jego respekt wobec skazańca, narastająca temperatura perswazji od pokory, poprzez nasilającą się presję, aż do rezygnacji z dalszych zabiegów czyni z tej stacji fragment o wyjątkowej skali emocjonalnego napięcia. Benka stworzyła tu solidnie umocowany portret zdesperowanego króla. W postaci Heroda widzimy maskę despoty, który w dążeniu do celu nie cofnie się przed niczym:

*dam ci wszystko. Ziemia jak krwią się obleje
Twoją religią.
Znaj słowo króla i pana tej ziemi
[...]
O wszystkim będziesz wiedział w czas.
Nigdy więcej zdrada nie wstąpi na twój próg.
Będziesz spokojny jak Bóg.
Uczyń mi cud.*

Całą tę historię możemy czytać jak rozległe rozważanie o wadze postaw etycznych wobec spraw państwowych. O wielkości i słabości, wewnętrznych uwikłaniach i rozterkach, bezsilności i rozpaczony wobec losu. O samotności człowieka i samotności Boga. Także O MECHANIZMACH WŁADZY.

Dzieło utrzymane jest w konwencji średniowiecznego misterium, ale wybrzmiewają tu też inne formy i konteksty kulturowe. Lamprecht wspomina o obecnym w książce obrazowaniu surrealistycznym. Daje się ono zauważyć w wielu miejscach. Ekspresywne, dynamiczne, nacechowane turpizmem i wizjami apokaliptycznymi sceny przeplatają się tu z fragmentami o wyjątkowej lirycznej subtelności. Język, którym tworzy swoje dzieło Benka, operuje różnymi rejestrami, a skala przeżywanych przez bohaterów namiętności może nasuwać skojarzenia z bohaterami dramatów Szekspira.

Cały tekst czyta się, jakby był głosem medium, jakby przychodził nie z tego świata. „Pasja Jezusa z Nazaretu” sugestywnie oddająca duszny klimat Jerozolimy tamtych dni może być lustrem, w którym współcześni odnajdą swój świat i przeżywane w nim rozterki sumienia. To, jak słusznie zauważa Piotr Lamprecht, emanacja masek, dlatego czytać można ten poemat nie tylko jako reinterpretację scen ewangelicznych, ale jako dzieło paraboliczne, które zaprasza i odsyła do pogłębianych odczytań.

Swoim niezwykłym poematem Benka porusza w czytelniku wiele czułych strun. Można powiedzieć o tej niepozornej objętościowo książce, że jest metaforą ludzkiej kondycji, niepokojącą opowieścią o bólu i smutku.

Anna Dominiak

Urszula Małgorzata Benka, „Pasja Jezusa z Nazaretu”, wydaw. Akwedukt, Wrocław 2020, 64 s.

O podróżach poza szpitala

Podczas rześnistej deszczu
Wrzuciłeś kajak na taflę wody
Tu jest głęboko a ja nie umiałam
pływać

Wiosła dryfowały pomiędzy
Wystającymi korzeniami
Czy łodygami
Zimne krople zaszyły mi się pod skórą

Materiał przylegał do ciała
Czułam się naga w ubraniu
Pełnym intryg

Fundacja obudź strach

Mój strach przywiążę do drzewa
I porzucę w lesie
Przekażę
Na niego 1% podatku

W polskiej dżungli
Pielęgnuję koszmarny paproci
Dlatego zrobię sobie z nim selfie
Do rodzinnego albumu

Na portal społecznościowy wrzucę screena
Z potwierdzeniem zapłaty
Bo boję się że mógłby uciec wraz z drzewem – żeby
zamieszkać pod moim łóżkiem

Bunkier namiętności

Byli tam tacy co
Dawali sobie w żyłę
Dawali sobie orgazmy
Dawali w gardło
A ja całowałam cię
Kłamałam

Red. IKS.: Po maturze w I LO, wygraniu sporej ilości konkursów poetyckich i debiucie książkowym („PRZEBUDZNIĘ”, vol. 36 w Bibliotece Pegaza Lubuskiego) wyjechałaś do Warszawy na studia polonistyczne. Jak dalej potoczyła się kariera naukowa i literacka?

ALICJA: Obroniłam licencjat z polonistyki na Uniwersytecie Warszawskim (specjalność literaturoznawczo-językoznawcza). Z powodu choroby i dłuższej hospitalizacji nie byłam w stanie uzyskać magisterium. Pisać nie przestałam, ale teraz wybieram prozę. Szczególnie interesuje mnie dramaturgia. W tej dziedzinie udało mi się zaistnieć w wielu konkursach i gościć na kilku scenach.

IKS.: Przeczytałem na stronie Teatru Polskiego w Poznaniu, że spektakl „Dni powszednie” jest w stałym repertuarze podscenki Malarnia („Ciężarówka”). Wygrałaś także konkurs na opowiadanie w prestiżowym oświecimskim konkursie „Pisanie dobre na chandrę”.

ALICJA: W Teatrze Polskim było to czytanie sceniczne, więc aktorzy mieli ze sobą kartki, ale przygotowano pełną scenografię i całość odbyła się profesjonalnie. Akcja działa się na żywo, ale również przez wideo – była kamera, która nagrywała to, co dzieje się na scenie. Dla mnie najważniejsze, że ludzie (obcy) po spektaklu podchodzili i dziękowali mi za tą sztukę, bo przeżyli coś podobnego lub czują podobnie. Reżyser nazwał to manifestem pokoleniowym. Oficjalnie, na Facebooku. Jeśli chodzi o „Pisanie dobre na chandrę”, wygrało opowiadanie „Jasieczki”, ostatnie, jakie napisałam. Obecnie mieszkam i pracuję w Kostrzynie nad Odrą.

ROPUCHY, MOTYLE I ŚLIMAKI

*Dorastałyśmy w małych domkach na wsi, gdzie poziomki
jadło się prosto z krzewów,*

a winogrona miały kwaśny posmak.

W rzece topiłyśmy kamienie

jak kaczki i kaczki jak kamienie.

Próbowaliśmy oswoić ropuchy,

motylom wyrwać skrzydła.

Z siostrą rzucaliśmy ślimakami o ścianę

i słuchałyśmy jak pękają skorupki.

Jeszcze miałyśmy włosy na nogach

i wciąż czułyśmy niedosyt.

PRÓBA ELEGII

Domci

*miałam dwadzieścia cztery lata, gdy pierwszy raz
spotkała mnie śmierć.*

*była przerwa w pracy, a w pracy był telefon. wszystko
rozłożyło się pleśnią jak dywan,*

*ale w dotyku nie przypominała go i przestała być
soczyście zielona.*

*obeszła zgniłą zielenią, rozprzestrzeniła się na kilka
sąsiednich ulic i placów.*

*nie mogło być wzniośle. naszą czwórkę spotkała śmierć,
którą trzeba było nazwać,*

*a nas nie było na to stać. zbankrutowaliśmy z dnia
na dzień, gorzej niż hazardziści,
gorzej niż zakupoholik w stanie maniakałnym, gorzej
niż wszystko i wszyscy.*

*śmierć pozostała bezimienna, jak kot holly golightly.
nie chcieliśmy jej oswoić.*

DNI POWSZEDNIE

czyli

MATERIAŁ DO ZBUDOWANIA DRAMATU
ROZPISANEGO NA DWA GŁOSY

Gdybym z zalążkiem pomysłu nie przystąpiła do lektury „Mazaganu. Miasta” Beniamina N. Bukowskiego i nie znalazła w nim odzwierciedlenia tego, co krząta mi się w głowie, i gdybym wreszcie nie zapożyczyła od niego cytatów, tego tekstu mogłoby nie być.

GŁOS PIERWSZY

scena I

Wszystkie opuściliśmy swoje domy. Rosoły i schabowe w niedzielę. Nie było nam źle, ale może być jeszcze lepiej. Żegnamy ponemieckie kamienice, wścibskie sprzedawczynie. Opuszczamy nasze maleńkie dworce z zamkniętymi od wielu lat kasami, opuszczamy nasze podrzędne stacje. Machali do nas, gdy byliśmy już z bagażami w środku. Machali tak, że tylko białych chusteczek brakowało. Napisz koniecznie, jak tylko dotrzesz na miejsce, mówili do nas. Wydarzenie z życia: wyprowadzka do. Odpowiedź jest oczywista. Większe możliwości, lepsza perspektywa.

scena II

Stolice i duże miasta mają to do siebie, że można w nich spotkać sławnych ludzi. I ci sławni ludzie okazują się wyżsi, i ci sławni ludzie okazują się niżsi, i ci sławni ludzie okazują się ładniejsi, i ci sławni ludzie okazują się brzydsi. Kamera dodaje pięć kilo, kamera odejmuje pięć kilo. W stolicach i dużych miastach są większe możliwości, a my jesteśmy ambitne i chcemy awansować, piąć się po szczeblach kariery, jesteśmy ambitne i chcemy zapracować wreszcie na anglojęzyczną nazwę stanowiska. Chcemy przy świątecznym stole w naszych małych miejscowościach tłumaczyć, czym właściwie się zajmujemy i że elastyczne godziny pracy, że na razie najniższa krajowa, ale to tylko etap przejściowy, za trzy miesiące awans i podwyżka, tak mi powiedziało szefostwo, służbowy telefon i własne biurko. Gramy czasem w paintballa, takie fajne jest to szefostwo.

scena III

Teraz takie czasy, że rodzinę zakłada się po trzydziestce. Bycie singlem, swoją drogą, ma wiele zalet. Póki co, mogę poświęcić się karierze, na męża i dzieci przyjdzie jeszcze czas, ale na razie szkoda mi go na tłumaczenie, że czasy się zmieniły, że teraz w stolicach i dużych miastach obietnice są niezobowiązujące i seks jest niezobowiązujący. Z czasem zamieszkać bliżej centrum i wtedy nie będzie trzeba się przesiadać. W stolicach i dużych miastach, proszę mammo, poza pracowaniem w korporacji i awansowaniem, można dla zabicia czasu przesiadywać w modnych knajpach. Tam debatuje się na temat umów śmieciowych, sztuki i sytuacji prekariatu. W stolicach i dużych miastach najłatwiej jest przejść na wegetarianizm albo od razu na weganizm i zacząć jeździć na kolarzówce lub holenderskim. Można zacząć podwijać nogawkę, bo łańcuch i szprychy, można klucze nosić na karabińczyku i przypinać je do szlufki. Stolice i duże miasta dają najlepszą motywację do zmiany garderoby i poglądów politycznych. Większa tolerancja dla homoseksualizmu, mniejsza dla Romów i Cyganów albo jedząc kebaba, osiedlasz Araba.

W stolicach i dużych miastach kobiety dowiadują się o parytecie, zaczynają czytać na ten temat eseje, zaczynają pisać na ten temat eseje, a te wszystkie teksty krążą wokół jednego grona. Baba bez bolca dostaje pierdolca, albo wszystkie feministki to lesby. W stolicach i dużych miastach, proszę mammo, można jeszcze dla zabicia czasu przesiadywać w hipsterskiej kawiarni, włączyć białego MacBooka i praktykować freelancerstwo. W domu brakuje natchnienia, jak tylko wezmę łyk, albo nie, jak tylko poczuję zapach brazylijskiej kawy z mlekiem sojowym to od razu lepiej pisze się tego bloga. Wkrótce, proszę mammo, zacznę zarabiać na reklamach i będę mogła zostawić pracę w korpo.

scena IV

W stolicach i dużych miastach można manifestować. W imię lub przeciwko, z transparentem czy bez, z parasolką czy bez, z przekonania czy z powinności. Byle manifestować, byle manifestować komuś, czemuś, zgnieść opozycję. Zabieram głos, głosem toruję sobie przestrzeń dla własnego głosu, który miałby wyrażać prawdy szerokich kręgów społecznych, powtarzam slogany poprzodników, choć innymi słowami, z innym akcentem. W stolicach i dużych miastach próbuje się zinternalizować wroga. Zastępuje się bolszewizm lewactwem, a my chcemy być jego częścią, a my jesteśmy jego częścią, a my tępiemy lewactwo, a my wyznajemy zasadę Polska dla Polaków, Bóg, honor i ojczyzna. W stolicach i dużych miastach nie czyta się byle czego. Literatura musi coś wnosić, musi być zaangażowana społecznie, już nie ma sztuki dla sztuki, Przybyszewski zmarł dawno temu. Kaput.

scena V

Stolice i duże miasta zobowiązują do weekendów. Weekend kręci się wokół wysokoprocentowych, czwartek to mały piątek, piątek, piąteczek, piątunio, sobota to sobota, a niedziela to trzeźwienie i dekadentkie kace. Byle do piątku, byle do dnia niepodległości, byle do świąt, byle do trzech króli, byle do majówki, byle, byle, byle, mój trud wkrótce się opłaci. Najważniejszy jest rozwój. Rozwój, rozwój, stawianie coraz wyższych celów i realizowanie ich. Nasza firma rozwija się tylko dzięki dobrze zorganizowanej współpracy, nasza firma, której wszyscy jesteście częścią.

scena VI

Stolice i duże miasta zobowiązują do minimalizmu. W stolicach i dużych miastach jest Ikea i w niej można kupić tymczasowe meble. Teraz czasy są inne, proszę mamę, ale nie znaczy, że gorzej. Wszystko ma czas określony. Umowa o pracę, kwalifikacje, umowa najmu, związki. Torby z Ikei na przykład najlepiej nadają się do przeprowadzek, dlatego mam ich cały zapas. Trzymam, dopóki nie przyjdzie mi zamieszkać bliżej centrum.

scena VII

W stolicach i dużych miastach jest więcej teatrów, na które nie ma czasu ani pieniędzy, ale są. Są też kina, multipleksy i niszone. W tych wszystkich modnych kawiarenkach można poznać zdrowotne właściwości diety bezglutenowej. Gluten to niewidzialny morderca, zapamiętaj sobie. Odtąd wszystko tylko gluten free, fit i bio. W stolicach i dużych miastach jesteś anonimowa, dlatego gdy zboczysz z drogi, zjesz BigMaca, popijesz go coca-cola, nic się nie wyda, a potem znów gluten free, fit i bio.

scena VIII

Tak mija rok, mijają dwa i trzy lata, a ty wiesz, że nie poczyniłaś żadnych postępów. Najniższa krajowa, elastyczne godziny, które dają się naciągnąć na twoją niekorzyść jak ścięgno po przegranym meczu. Bezpłatne nadgodziny, permanentna zmiana adresu. Meldunek: tu, wszędzie i nigdzie, w imię prekariatu. Wierzyłam w minimalizm tylko po to, żeby nie przyznać się sama przed sobą, że moje warunki mieszkaniowe, te zaciemnione kłitki, nie pozwalają na gromadzenie przedmiotów. Dlatego jak książki to tylko z biblioteki albo w formie cyfrowej. W szafie rotacja – zimowe ubrania, jak wszyscy, zwożę do rodzinnego domu, aby wymienić je na letnie. Proszę córkę, nic się nie zmieniło, to nadal jest twój pokój, możesz zawsze do niego wrócić, takie blade to i wychudzone, z sińcami pod oczami, jesz coś w ogóle? Dawne pokoje muszą pozostać dawne, w przeciwnym razie przerodzą się w porażkę, a tego słowa nie lubimy. Nie po to aktywnie prowadzę Facebooka, nie po to wstawiam zdjęcia fit śniadań, nie po to biorę udział w wydarzeniach, w których udziału nie biorę, nie po to zżyłam się z messengerem, zagłuszając samotność, żeby teraz wrócić w rodzinne strony. Nie po to obcy ludzie wgniatają mnie w innych obcych ludzi. Proszę mamę, wiecie mi się całkiem dobrze, mam przyjaciół, prowadzę aktywne życie, a na miłość przyjdzie jeszcze czas. W centrum nie chciałabym mieszkać, bo gwaro, głośno,

tłoczno. Mogłabym ze spokojem wynająć coś w centrum, ale, proszę mamę, uwierz mi, że na obrzeżach jest lepiej. Z dala od turystów. Co tu zwiedzać? Miasto jak miasto, zabytki jak zabytki, tylko stopa żyć-wa lepsza i perspektywy, proszę mamę, lepsze.

scena IX

Nie, proszę mamę, że chodzę do terapeuty, nie znaczy, że jestem świrem. Kinga Rusik, ta z telewizji, też chodzi. I Pafliwkowska, którą tak bardzo lubisz. To nie jest tak, jak mówisz, że ludzie nie potrafią ze sobą rozmawiać i stąd to wszystko. Czasy się zmieniły, ile mam ci powtarzać, kiedyś mniej się o tym mówiło albo nie mówiło w ogóle. To nie jest tak, że każdy głupi może sobie na to pozwolić. Dlaczego Mariola spod czwórki nie zgłosi na policję, że mąż ją leje? Dlaczego nie pójdzie do psychologa? Widzisz, to na swój sposób prestiż. Wiem, że tu byłoby taniej, ale w stolicach i dużych miastach są lepsi specjaliści. Tak, stać mnie na nich.

GŁOS DRUGI

scena I

Żyjemy w społeczeństwie informacyjnym. Wokół same tablety. Jedne mają całe i dwa lata gwarancji, inne miligramy zapisane na recepcie. Należę do drugiej grupy. Zabierają wszystkie ładowarki, kable, sznurki, szkło, metalowe przedmioty. Do naszych obowiązków należy chodzenie w piżamie, przyjmowanie leków, zjadanie posiłków, spanie w godzinach nocnych. Odartło nas z płaszczy i butów, że gdyby przyszło nam uciekać to tylko w kapciach i szlafrokach. Nasze sprzęty odartło z kabli i przewodów, nasze piżamy odartło ze sznurków i nas odartło ze skóry, wślizgując się między nas w rażąco białych kitlach jak upierdliwa drzazga. Drzazga, którą trzeba prosić o włączenie światła na salę numer dwadzieścia, drzazga, którą trzeba prosić o zgaszenie światła na sali numer dwadzieścia dwa. Wydarło nam cenne i używane przez nas sprzęty, by nie używać ich przeciwko sobie. Przed każdym użyciem trzeba się prosić, każde użycie jest skrzętnie notowane i raporty z każdego użycia przekazywane są wyżej i wyżej. Po każdym użyciu trzeba zamknąć cenne i używane przez nas sprzęty, zapamiętać.

scena II

Idzie luty, podkuj buty, idzie luty podkuj dupę, bo wchodzi między nas jak drzazgi w rażąco białych kitlach, żeby zwalczać barokową ozdobność. Niektórzy pacjenci, których nazwisk przez grzeczność nie będę wymawiać, zostają przewiezieni do Gniezna albo Kościana. Zwalczają barokową ozdobność, gdy przywiezie cię karetka, gdy pokładasz się na ziemi i nie chcesz z niej wstać, gdy wypływasz leki i wyrywasz sobie wenflon, gdy pół nocy wyzywasz pielęgniarki. Ostają się tylko ci, których gremium uzna za mniej niebezpiecznych. Ci, którzy dalej tną sobie żyły, przypalają skórę, leżą wciąż na swoich miejscach przez niedopatrzenie.

scena III

Niektórzy stawiają znak równości między samookaleczeniem a próbą samobójczą, więc narażam się na ścisłą obserwację. Trzeba donosić na samego siebie. Zdawanie raportów ze stanu samopoczucia ma realne konsekwencje. Zdawanie raportu ze stanu samopoczucia zwiększa dawkę leków no-name, zdawanie raportu ze stanu samopoczucia wyprasza cię na noc na korytarz, pod obserwację ścisłych oczu. Zdawanie raportu ze stanu samopoczucia utrudnia godną depilację w samotności. Po drugiej stronie murów znajdują się inni ludzie, którzy swobodnie, bez liczenia ostrzy, używają maszynek do golenia. Chodzą do Żabki po papierosy, my do sąsiedniej sali, gdzie za papierosa dajesz komuś dożywotni dostęp do przelanego w plastik miodu, gdzie dwa cienkie wymienisz na jednego grubego, gdzie banan jest w cenie dwóch mandarynek. Papierosy są w cenie. Kto je ma, ten rządzi. Nie znaczy to, że nie ma w nas bezinteresowności, ale ona zawsze obarczona jest potrzebą odwzajemnienia. Wzajemna pomoc jest niezbędna, szczególnie tutaj.

scena IV

Tak mija dzień, mijają dwa i trzy dni, a ty wiesz, że nie czynisz żadnych postępów. Nie zasypiasz w nocy. Przypomina ci się niedokręcony gwóźdź w łazience, ale jak tylko spróbujesz, jak tylko tak w nocy na ten korytarz wyjdiesz, to zaczną się nadmiernie interesować, dociekać. Przeszukują więc szafki, poza imbirem najostrożniejsza jest tylko krawędź pasty do zębów, ale ona się nie nadaje. Mija dzień, mijają dwa i trzy dni, a ty wiesz, że nie czynisz żadnych postępów, dopóki w każdym przedmiocie szukasz krawędzi i ostrych kantów, dopóki co selfie to emocje, dopóki co selfie to przepaść, dopóki wykres zmian nastroju, który dostałam od psychiatry, przypomina sinusoidę. Nie ma mowy o postępie, dopóki nadstawiam kłuty już pośladek i nie mogę zdecydować, czy prawy, czy lewy, bo w oba byłam kłuta tyle samo razy. Nie wiem, czy zbiera mi się na wymioty, czy jestem głodna. Nie mogę zdecydować, a jeśli ktoś zdecyduje za mnie, że jednak jestem głodna, to nie potrafię wybrać: banan, krakersy, baton. Nie ma mowy o postępach, jeśli nie potrafię podjąć decyzji na poziomie banana. Na szczęście niektórzy pacjenci, których nazwisk przez grzeczność nie będę wymawiać, biorą depakine. Skutki uboczne: wzmożony apetyt. Masz więc komu oddawać połowę obiadu, cieszyć się, że umknęło to pielęgniarce. A my nie kabujemy wzajemnie na siebie. Nie donoszą na mnie, że chowam owoce przed ordynatorką, że niby je zjadłam. Gdzie tu postępy, skoro masz ochotę wyrzygać jadłospis całego tygodnia, dopóki tymczasowa biblioteczka przyprawia cię o wyrzut sumienia, dopóki każde napisane zdanie wydaje ci się jałowe jak szpitalne żarcie, dopóki nie możesz zwlec się z łóżka, dopóki w nocy budzi cię własny krzyk, dopóki po raz kolejny nocą topisz się w rzece, dopóki po raz kolejny musisz liczyć na to, że ktoś cię z niej wyciągnie, dopóki budzisz się ze snu, po którym wydarzają się rzeczy gorsze, dopóki zdajesz sobie sprawę, że to był sen szkatułkowy, dopóki głupiejesz i nie wiesz, czy przebudzasz się już naprawdę, dopóki łóżko parzy i boli, dopóki zasypiasz ze strachem, dopóki modlisz się, choć nie wiesz do kogo, żeby nie pamiętać snów.

scena V

Nasze salony zamienili na świetlice, zamiast wygodnej kanapy siadamy na fotelu współdzielonym z setkami pośladek na przestrzeni wielu lat, te same fotele na przestrzeni wielu lat zniosą jeszcze setki innych pośladek. Zamieniono mi pełen pakiet Canal plus na kilka programów na krzyż. Autorytarna władza nad pilotem została przejęta przez demokratyczną większość (tu naprawdę udaje się zdefiniować, czym jest demokracja). Dla własnego dobra zrezygnowałam z gustów, z przypraw, wegetarianizmu, weganizmu i diety odchudzającej. Za każdym razem, gdy zbliża się posiłek, czuję, jakbym cofnęła się do podstawówki. Miejsca mało, ale stołów okrytych ceratą i krzesel najebrane tyle, że przejść nie sposób, a krawędź stołu w trakcie jedzenia wbija ci się w brzuch. Nasze brzuchy i biodra dopiero tutaj zaczynają doskwierać. Choć w rzeczywistości nasze brzuchy i biodra dopiero tutaj przestają mieć znaczenie, są niczyje. Nasze ciała przestały być nasze, przestałyśmy o nich decydować, przestałyśmy organizować sobie czas, nasze zegary biologiczne zostają wciągnięte w jeden system, wyrównane do jednego – gratisu jednej z firm farmaceutycznych, której powinnyśmy być wdzięczne.

scena VI

Weekendy kręcą się wokół leków i posiłków. Tu zaczęłam lubić poniedziałki i wszystkie inne dni powszednie, choć i tak nie ma co robić. Zamiast mężów zadowalać się musimy tym, co ich przypomina.

*Zostaw ten świat, sztuczny tak,
że trawa jest zielona tylko w grach,
wróć do początku, zamiast betonu
poczuj budzący cię wiatr.*

(Refren piosenki „Reset” autorstwa Sokoła i Marysi Starosty)

Czas określony. Umowa na korzystanie ze słuchawek ma czas określony: od śniadania do ostatniej porcji leków, od przebudzenia do zaśniecia lub wyłączenia telefonu.

scena VII

Mnie być może od przeciętnego obywatela świata różni ilość i pochodzenie blizn, ale nie prześwitują przez rękaw, więc na pierwszy rzut oka można postrzegać mnie jak przeciętnego obywatela świata. Załóżmy, siostry, na chwilę, że wszystkie jesteśmy utkane z tej samej materii, że tak samo tęsknimy, że tak samo buzuje nam krew w żyłach, tak samo płaczemy, choć z innych powodów. Stworzyłyśmy sobie warunki ku temu, żeby nie zwariować, musimy wciąż zadawać sobie trud, aby fortyfikacja nie była za ciasna.

Krzyżówki, warcaby, bierki, pasjans, monopole, puzzle, kolorowanki, sudoku, Harlequiny, ale to nie wystarcza. Zamiast tego głupstwa, zamiast rozwiązywania krzyżówek (mkną po szynach niebieskie – wolne, er, a, wolne, wu, a, wolne, wolne), zamiast czytania Harlequinów i innych gówien powinnyśmy otworzyć szeroko drzwi i wyjść, iść przed siebie, choćby do samego ogrodzenia, ale nasze prośby są nieme, jak grochem o ścianę, dopóki groch nie będzie szklany, nikt nie zwróci na nas uwagi. Nam odebrano broń, nam chcą odebrać jeszcze głos. Stajemy w szeregu albo gęsiego z odpadającymi strupami, odparzeniami po plastrach, nasze patchworkowe ciała wystawiamy na widok publiczny. Nie powinnyśmy skrywać się z naszymi bliznami, dosyć noszenia długich rękawów, dosyć udawania, że z powodu złego krążenia stale zimno. Normalność, drogie siostry, jest konwencją. Konwencja, drogie siostry, może się zmieniać. Nie mamy społecznego poparcia, ale przyszedł w końcu czas na edukację: długoterminowy kryzys nazwać po imieniu. Ja być może jestem rozstrojona nerwowo, ja być może sprawiam teraz wrażenie poniekąd wytraconej z wąskiej równowagi psychicznej, jaką na pozór utrzymuję na mocy wypracowanej konwencji społecznej. Chuj z konwencją, chuj z wami wszystkimi.

scena VIII

Nie pamiętamy, kiedy tu trafiłyśmy, nie wiemy, kiedy stąd wyjdziemy. Dom buduje się rytuałami, śniadanie o ósmej, w południe obiad, kolacja o siedemnastej, cisza nocna od dwudziestej drugiej. Ściany mają ciepłe kolory, w oknach nie ma krat – zamiast dodawać, można odejmować, jedna kłamka po drugiej. Nie mamy już dokąd pójść, dałyśmy się zdomować. Nasze potrzeby są minimalne, nasze potrzeby z powodzeniem zaspokajają szpitalny bufet. Przeraza nas powrót do wieżowców, przerażają nas centra handlowe i hipermarkety, przeraża nas przestrzeń i przeraża nas jej brak. Przeraza nas powrót w ciasne mury, przeraża nas przekonanie, że tylko w tych murach można się zdomować, a wołanie „siostró” przybierze inny charakter.

Alicja Łukasik – rocznik '93. Absolwentka I LO w Gorzowie Wlkp. Wieloletnia uczestniczka Warsztatów Literackich Poetów Okręgowego Stołu. Debiutowała wierszami w „Pegazie Lubuskim” nr 3(42) w 2010 r. W tym samym roku ukazał się drukiem jej pierwszy poetycki tomik „Przebudzenie”, za który – jako najlepszy debiut – otrzymała dyplom Kapituły Lubuskiego Wawrzynu Literackiego. Po studiach w Warszawie mieszka i pracuje w Kostrzynie nad Odrą. Obecnie więcej czasu poświęca prozie – szczególnie jako tworzywu dla teatru. Za publikowane tu „Dni powszednie” otrzymała główną nagrodę X Metafor Rzeczywistości. Premiery doczekał się także jej dramat „Słońce nad samą Warszawą”, który znalazł się w półfinale Gdynińskiej Nagrody Dramaturgicznej i ukaże się na łamach „Dialogu”.





Sen

W jakiś sposób (nikt nie wie w jaki) we śnie szliśmy w natchnionej światłem i śpiewem przyrodzie. Towarzyszył nam sosnowy las, którego żywiczny zapach orzeźwiał powietrze tajemniczymi fluidami. Rosły trawy i krzewy wszędzie. Byliśmy w dobrym, poetyckim

nastroju, któremu sen dodawał swoją niewyraźność. Biorąc się nie tylko z samej pobliskiej wizualności, ale z czegoś ponadto, jak w każdym śnie. Tuż obok tchnął blaskami duży akwen śródlęny. My pośrodku, na ścieżce. Piszę. Wiem. Realnie też wypadłoby tak iść, starać się o bycie w sennej formie istnienia. Nie zubożać się wewnątrz, ale włączać się w jakieś wysokie myślenie, dodawać coś do siebie, by w ten sposób przekraczać podmiotową materialność i samotność. A tu codziennie tyle prozaicznych, a nawet ciężkich spraw.

Już

Już książka prawie następnego dnia ma iść do drukarni, a ja widzę, że cały wiersz trzeba pracować.

Godzina

Minęła godzina. Kwiatom dałem wodę. Wypełniłem więc obowiązek wobec braci mniejszych. Napisałem kilka zdań. Jest duszno, wilgotno, nad głową dach, w żarówce światło. Chleb na stole. A co byłoby w innej sytuacji, w granicznie innej, takiej, która dotyka boleśnie miliony ludzi. Trzeba cenić swoje tu i teraz, dopatrzeć się wszystkich zalet.

TV

Program dokumentalny o losach ludzi. O człowieku na początku lat pięćdziesiątych skazanym na śmierć, którego los oszczędził, gdyż został po odwilżowych zmianach politycznych ułaskawiony. Pokazano celę więzienną, w której spędził smutne lata. Pomyślałem od razu, że wtedy dopiero co urodziłem się. I ominęły mnie tego rodzaju okrucieństwa. Biegałem po łące, szukałem kaczeńców, słuchałem ptaków.

Jest lato

Czytam poranną wiadomość. W Mrzeżynie, rano, auto wpadło do kanału portowego. Z auta wydobyto mężczyznę lat ok. 30, którego nie udało się uratować. Miał przed sobą całe życie, ileż spraw. Nie tylko pandemia zabija. Nie tylko choroby. Ale też różne nieszczęśliwe zbiegi okoliczności. Niby banalne to wszystko, ale sama śmierć nigdy banalna nie jest, jak wszelka ostateczność, która unicestwia ciąg dalszy.

Dzień

Kilka słów polepszyło moje samopoczucie. W mailu D. pisze, że niedawno opublikowaną książkę Włodzimierza Korsaka zapakowała w kopertę i wysłała do mnie. Ktoś pamięta, spełnia prośbę, wysłała pocztą. Życie może mieć barwę.

Już są te dni

Już są te lata, że sprawdzam siebie, swoje istnienie w lustrze. Myśli przywołują twarze i imiona, sprawy, kłęski, drobne pomyślności. Ogląda się światła i cienie. Myśli są młode, porywają się niemal na gwiazdy, ile w nich jeszcze chęci i zamiarów do realizowania, a ciało, oddech, kolana, ramiona, rytm serca, daje znaki ostrzegawcze. Kroki trzeba stawiać wolniej, myśli formułować w sposób bardziej powściągliwy, bo niedawne pewności nie upoważniają, by być nadal tak pewnym swoich racji. Teraz racją jest wyważanie proporcji, by nie wchodzić w złudzenia, lecz respektować realność. To ma także znaczenie dla każdego poety. Na miejsce emocjonalnego żywiołu i pędu wchodzi refleksja, zamyślenie itp. Ogień emocji, siła emocji, to cecha młodości. Pamiętam to. Poeci wtedy głoszą różne ostre deklaracje, dopóki nie spostrzegą, że jest w nich wiele puchu i pustki. Refleksje wtedy dają (mogą dawać) oddech, piękny oddech prawdy, zdobytej wiedzy, czyli wychylania się do światła, do tego, co zostaje po otrząśnięciu się ze zbyteczności wielu spraw i rzeczy. To też jest ważne. Myśli dają ruch, którego już nie daje ciało.

Podwórko

Jestem w takim, a nie innym miejscu życia. To jest punkt istotny dla mojego myślenia. Wiersze wyposażam, bo na tym mi zależy, w dozę obiektywnego doświadczenia. Przynajmniej na tyle, na ile jest to możliwe. Zmysłowej obserwacji, która jest fundamentem, którą bardzo lubię, wszystkie jej walory i detale staram się dostrzegać, dodaję dozę uogólnienia. Chcę uniknąć egotyzmu i skrajnego subiektywizmu, który jest dosyć modny. Byłem niedawno w Jaromierzu, poszedłem do mojego kolegi na gospodarstwie. Popatrzyłem na podwórko, na rozrzucone przedmioty, narzędzia, na stodołę chylącą się do upadku, na całą chaotyczną, poniszczoną składnię tego podwórka. Pomyślałem, tak wygląda los człowieka. I takiego człowieka zastałem. Samotnego. Znękanego chorobami, brakiem sił, kłeskami finansowymi, towarzyskimi, który niczego już nie planuje, a raczej wyłącznie czeka.



Waldemar Kućko

Artysta fotografik, fotoreporter. Pierwszy powojenny kronikarz Gorzowa Wlkp. Jeden z założycieli Gorzowskiego Towarzystwa Fotograficznego. Członek nieformalnej kulturo- i opiniotwórczej grupy znanej jako Stolik numer 1. Ma swoją tablicę w Alei Gwiazd na Starym Rynku (1998).

Urodzony koło Wilna. W Gorzowie od 1945 roku. Ukończył Technikum Fototechniczne w Łodzi. Za przynależność do Harcerskiej Organizacji Podziemnej został w 1950 roku aresztowany i skazany na półtora roku w zawieszeniu. Służbę wojskową odbywał w latach 1953-1955 w karnej kompanii górniczej. W drugiej połowie lat 50. ub. wieku związał się z ZWCh Stilon. Pracował jako fotoreporter w gazecie zakładowej „Stilon Gorzowski”, a także w laboratorium badawczym zakładu. Od 1978 roku fotoreporter gorzowskiego Oddziału „Gazety Zielonogórskiej” – obecna „Gazeta Lubuska”. Współpracował też z tygodnikiem „Ziemia Gorzowska”. W 1972 roku – jako pierwszy Lubuszanin – został przyjęty do Związku Polskich Artystów Fotografików.

Autor wielu wystaw indywidualnych i laureat licznych nagród na konkursach w Polsce i za granicą.

Od 1984 roku na organizowanych w Gorzowie Ogólnopolskich Konfrontacjach Fotograficznych przyznawana jest nagroda jego imienia. Patron jednej z gorzowskich ulic na Górczynie. W 2002 roku powstał film dokumentalno-biograficzny pt. „Waldemar Kućko. Artysta fotografik” autorstwa Ryszarda Kućki. Jego dorobek przypomniany został w kilku wydawnictwach. W 2008 roku w serii „Kolekcja 750-lecia” ukazał się album Macieja Szymanowicza pt. „Kućko”, w 2018 roku pierwszy, a w 2020 roku drugi tom albumu pt. „Waldemara Kućki spacer po Gorzowie” w opracowaniu Lecha Dominika.

Drugi album fotografii „Waldemara Kućki spacer po Gorzowie” jest chyba jeszcze ciekawszy niż pierwszy, wydany w 2018 r.

Przypomnijmy: Waldemar Kućko, fotograf, reporter „Stilonu Gorzowskiego” i „Gazety Gorzowskiej” od ok. 1955 r. do śmierci w 1981 r. robił zdjęcia miasta i jego mieszkańców. Ok. 30 tys. negatywów Elżbieta Kućko, żona Waldemara, przekazała gorzowskiemu muzeum. Przeleżały dość długo, czekając na nowocześnie zdobycze techniki cyfrowej, która pomaga na wydobycie ze starych zdjęć pełni ich urody. Najpierw w pierwszym, a teraz w drugim tomie „Spacerów” oglądamy Gorzów z minionych lat. Wyboru zdjęć dokonał i całość do druku przygotował Lech Dominik. Wszystkie zdjęcia są ponumerowane: w tomie I od 1 do 340, w tomie II od 341 do 695. Formą wstępu jest kalendarium życia i twórczości Waldemara Kućki.

*

Zdjęcia zostały podzielone na sześć tematycznych rozdziałów: Miasto, Nowe budownictwo, Przemysł, Stilon, Zebrania i pochody, „Solidarność”. Wszystkie są podpisane, ale w podpisie figuruje tylko lokalizacja: np. „Ulica gen. Władysława Sikorskiego” albo „Widok na most Manifestu Lipcowego (obecnie Staromiejski) na rzece Warcie”.

Lech Dominik na pierwszej stronie dziękuje Romanowi Picińskiemu i Ryszardowi Broniszowi za identyfikację miejsc i weryfikację nazw zawartych w albumie. Rzeczywiście, trzeba dobrze pamiętać Gorzów sprzed lat, aby dokładnie określić miejsce pokazane na zdjęciu. Ale zaraz rodzi się pytanie: kiedy to zdjęcie zostało zrobione? W podtytule albumu wskazany jest czas: lata 60. i 70. Na początku lat 60. jeszcze stał arsenał, jeszcze ulica Chrobrego przy katedrze nie była tak szeroka jak dziś, jeszcze nie było bloków, a najwyżej puste miejsca po zburzonych kamienicach.

Pierwsze zdjęcia w tym tomie pokazują neony, jakie świeciły w Gorzowie: jeden z dworca kolejowego, a drugi z ulicy Sikorskiego. Bo już ulica została odbudowana, już otwarto przy niej dużo sklepów, już był na niej ruch. Neon umiejscowiony nad sklepem przedstawia panią z torbami pełnymi zakupów. Nie ma już tego neonu, już przeszedł do historii. Bardzo mi brakuje choćby próby określenia, około którego roku zrobione było zdjęcie, kiedy zainstalowano ten neon i do jakiego sklepu zapraszał.

Na innym zdjęciu ulicy Sikorskiego pokazano światła na przejściu dla pieszych. Uruchomiono je w 1964 r. Czy sąsiedni neon wówczas już świecił?

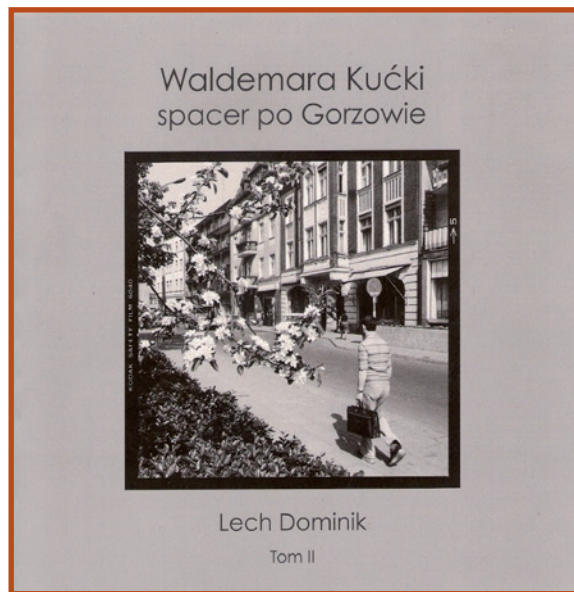
*

Stosunkowo niewiele zdjęć pokazuje ludzi, ale z imienia i nazwiska podpisani są tylko najważniejsi: I sekretarz Komitetu Centralnego PZPR Edward Gierek, premier Piotr Jaroszewicz i wojewoda gorzowski Stanisław Nowak. Byli tak ważni, że łatwo ich rozpoznać. Natomiast są w tym albumie zdjęcia ludzi także ważnych dla historii miasta, a ich nazwisk nie podano.

Na zdjęciu nr 427 podpisanym „Wnętrze kawiarni Klubu Międzynarodowej Prasy i Książki” od prawej są: Mieczysław Rzeszewski, Wojciech Sadowski, Krystyna Kunicka (?) i Bogdan Kunicki – członkowie legendarnego Stolika nr 1.

Na zdjęciu nr 488 podpisanym „Przed Urzędem Miejskim przy ul. gen. Władysława Sikorskiego” stoją od prawej: Zdzisław Morawski – znany pisarz, Włodzimierz Kiernożycki – prezydent miasta i Hans Beske – przedstawiciel dawnych mieszkańców Landsbergu. Zdjęcie dokumentuje ważne spotkanie z 1981 r., które zainicjował Hans Beske, by doprowadzić do współpracy z aktualnymi mieszkańcami Gorzowa. Dla obu wskazanych zdjęć na pewno ważniejsze jest to, kogo pokazuje, niż gdzie zostało zrobione.

To przykłady tylko dwóch zdjęć. Na wielu są osoby pewnie nie tak znane, a przecież warto zatrzymać pamięć o nich. Zdjęcia są ku temu znakomitą okazją.



Moja propozycja: spróbujmy siłami wszystkich mieszkańców na podstawie zdjęć zgromadzić jak najwięcej informacji dotyczących dawnego Gorzowa. Nawet jeśli będą one miały znikomą wartość dla historii miasta, to przypomną ludzi, którzy tu żyli, pracowali, wychowywali dzieci. Na pewno niewiele miast może się poszczycić taką dokumentacją. Warto ją dogłębnie wykorzystać.

*

Powyżej była mowa o dokumentacyjnym znaczeniu tych zdjęć. Równie ważna jest ich wartość artystyczna. W 1972 r. Waldemar Kućko jako pierwszy fotograf z Ziemi Lubuskiej został przyjęty do elitarnego Związku Polskich Artystów Fotografików. Nie było wówczas wyższych szkół o kierunku fotografii, więc ażeby wejść do grona artystów w tej dziedzinie, trzeba było przedstawić wystawę o walorach twórczych i zdać trudny egzamin. Waldemar Kućko pokazał wtedy zestaw zdjęć zrobionych w Stilonie. Temat trudny, bo eksponujący nie ludzi, a ich pracę i maszyny. Do tego albumu włączono kilkanaście zdjęć ze Stilonu. Do dziś zachwycają kompozycją, rytmem, kontrastową kolorystyką. Pamiętać trzeba, że były to zdjęcia czarno-białe, ale Kućko umiał stworzyć całą paletę różnych tonów czerni, bieli, a przede wszystkim szarości.

Waldemar Kućko bardzo lubił zdjęcia robione z góry, a wówczas nie było dronów, które dziś ogromnie pomagają fotografom. Musiał wdrapać się gdzieś wysoko, w miejsca niebezpieczne, a że był mężczyzną słusznej postury, wcale nie było mu łatwo. Jednak dla dobrego zdjęcia nie wahał się ryzykować.

*

Zainteresowanie pierwszym tomem było ogromne. Muzeum Lubuskie dwukrotnie robiło dodruk. Wydanie drugiego tomu zbiegło się z pandemią, nie można było urządzić uroczystej promocji. Szkoda, ale nie w szumnej promocji jego wartość.

Ten album najlepiej spokojnie oglądać w domu. I to kilka razy. Dla tych, którzy pamiętają tamten czas, będzie to okazją do wspomnień, do opowiadania dzieciom i wnukom. Ja zachęcam do opisanie ludzi, których widzimy na zdjęciach, miejsc i spraw. Dokumentacja słowna jest również potrzebna jak ilustracje.

Lech Dominik, „Waldemara Kućki spacer po Gorzowie” (lata 60. i 70.), tom II, wydaw. Muzeum Lubuskie im. Jana Dekerta, Gorzów Wlkp. 2020, 392 s.

Czesław Sobkowiak

WAŻNA KSIĄŻKA

Co to znaczy, gdy ktoś nie okazjonalnie, lecz wytrwale, sumiennie, przez lata, czymś, jakąś dziedziną, kultywując swoją pasję, wypełniając logicznie podjęte zadanie, ideę i wyzwanie, zajmuje się. To musi przynieść efekty i musi ze żmudnych wysiłków uzbierać się wartość, której nie da się nie zauważyć ani zlekceważyć. Tylko w ten sposób warto do czegoś dochodzić. Otrzymałem niedawno właśnie publikację, o której aż chce się w takich kategoriach myśleć i przykładać do niej nawet nieco patetyczne formuły, np. organicznej pracy u podstaw. Myślę o porządnie i ciekawie także pod względem typograficznym wydanej książce, może wiekopomnej księdze, o almanachu „Literaci w Gorzowie. Pod skrzydłami Pegaza”, którą stworzył z licznych literackich tekstów, z wielorakich ilustracji, tym razem kolorowych (zdjęć autorów, imprez literackich, okładek książek i czasopism) Ireneusz Krzysztof Szmidt – poeta, autor, i dobry jak widać organizator życia literackiego w tym mieście. Ma Gorzów szczęście, że ktoś taki się znalazł (Gorzów 2019, Biblioteka Pegaza Lubuskiego, poz. 94, 420 s.). Wartością jest to, że odnosi się i czerpie ten „nowy almanach” wszystkie treści z publikacji zamieszczonych w „Pegazie Lubuskim” (ukazało się już 80 wydań), wokół którego gorzowskie środowisko pisarskie gromadziło się i rośnie. Jest jakby pomnikiem tego pisma, które lubię. Objęci prezentacją są członkowie od 15 lat istniejącego w Gorzowie Oddziału ZLP, pisarze nierzeszeni i ci (w części trzeciej) „którzy odeszli”. Poprzez te stronicy, w ujęciach krytyczno-literackich, w prezentacjach włączonych utworów i także w biogramach autorskich ich wszystkich dokładniej poznajemy. Duża to praca. Toteż jej autor słusznie został uhonorowany dyplomem Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za całokształt w lutym 2020 roku. Powstał bowiem reprezentatywny obraz jakby w jednej „pigułce”. O tym zresztą I.K. Szmidt pisze w swoim wstępie. Oczywiście to efekt jego pracy, ale i regularnie przez wszystkie lata współpracującej z pismem Krystyny Kamińskiej. Duży jest przecież i jej wkład, co zostało odzwierciedlone. Zresztą strona redakcyjna dokładnie obecność wielu osób odnotowuje, choćby udział Danuty Zielińskiej, która wykonała korektę. Ma więc miejsce zebranie i ukazanie szerokiej, bogatej w dorobek twórczy, społeczności – tradycji i współczesności Miasta. I moja twórczość jest odnotowana, za sprawą Anny Dominiak, która oprócz poezji uprawia także krytykę literacką (ciekawie pisze o książkach), co mnie ucieszyło. Muszę przyznać, że chodziło i chodzi mi nadal po głowie takie obszernie zanotowanie – nawet gdyby to był tylko dokładny, informacyjny spis autorów. Wszystkich twórców, mających dorobek książkowy lub nawet jedynie publikacje w pismach, by cała lubuska zbiorowość literacka uzyskała zbiorczy wyraz faktograficzny. To duże zadanie do wykonania. Potrzebne też od strony np. naukowej, ale i możliwe. Ireneusz K. Szmidt już to zrobił. Zielona Góra jeszcze nie. A jest kilka osób, które z powodzeniem mogłyby się tego żmudnego wysiłku podjąć – Kurzawa, Szott, Rudiak, Siatecki (?). Zachęcam.



MORAWSKI POSTAĆ TRAGICZNA

Pamiętam Zdzisława Morawskiego z lat 80. Wysoki, postawny, przystojny, z grzywą siwych włosów i tubalnym głosem. On nie szedł, a kroczył, nie powiedział, a przemówił, nie przyszedł, a zaszczyił swoją obecnością, nie był, a istniał. Bez niego żadne wydarzenie nie było ważne. Zawsze czekało się, by pierwszy zabrał głos. A on mówił, jak świat nam się skundlił (jego określenie) i że to przez nas, bo nie mamy odwagi spojrzeć prawdzie w oczy, nie mamy odwagi, by go zmienić. Rozumiało się, oczywiście, że on wie, jak świat naprawić, ale nikt nie chce go słuchać. Biliśmy się w piersi.

Liczył się chyba tylko ze zdaniem Bogdana Kunickiego. Rzeszewski, Świerczyński, Kućko, Sadowski to mogli być przyjaciele, ale intelektualnie... Nikt nie śmiał podejmować z nim dyskusji. Tylko jeden Kaziu Furman go lekceważył. Nie umieliśmy powiedzieć mu: sprawdzam.

*

Odważył się dopiero Dariusz Aleksander Rymar, który nie znał Zdzisława Morawskiego i tym samym nie zbudował w sobie czci dla niego. Jako historyk świadomie zajął się tylko polityczną postawą Zdzisława Morawskiego, z założenie odsuwając na bok jego dorobek literacki. Zastosował przy tym metodę pracy historyka: liczy się tylko to, co ma potwierdzenie w dokumentach. Ale nie wystarczy dotarcie i przeczytanie dokumentów, trzeba je umieć osadzić w czasie, w jakim powstały, i je zinterpretować.

We wstępie Dariusz Rymar wymienia długą listę osób, które mu pomogły w kwerendzie, przede wszystkim z ponad 20 archiwów w całej Polsce, które szukały śladów Morawskiego z lat 40. i 50. Na taką pomoc mógł liczyć chyba tylko on jako członek rodziny archiwistów. Potem czekała go okropnie nudna lektura przemówień, protokołów, całych zespołów akt partyjnych pisanych dętym językiem, pustych, a przecież wymagających prześledzenia, bo może jakiś kamyczek...

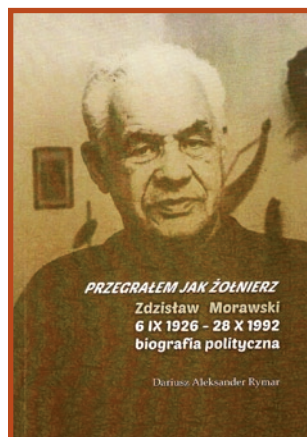
Dariusz Rymar podjął się niezwykle trudnego zadania, by prześledzić życie i polityczną postawę Zdzisława Morawskiego. A bohater tego śledztwa zadania mu nie ułatwiał, bo sam kluczył, motał, jedne fakty celowo ukrywał, innym nadawał odmienną interpretację. Morawski przez lata bardzo starannie budował swój profil, a Rymar po kolei zdzierał wszystkie zasłony.

*

Nie wiadomo, gdzie i jak spędzał lata wojny. Po 1945 r. pracował w aparacie partyjnym, ale Zdzisław akcentował, że okres ten dał mu szansę na kształcenie, a Dariusz wybija, że... Przeczytajcie!

Proteza prawej nogi była w powszechnej opinii skutkiem zesłania Zdzisława do kamieniołomów, Dariusz pokazuje, że... Przeczytajcie!

W latach 70. i 80. w Gorzowie był najważniejszą osobą na kulturalnych i partyjnych konwentykłach (jego ulubione słowo), a Dariusz Rymar analizuje treść jego wystąpień i... Przeczytajcie!



Wiedzieliśmy, że opowiedział się po stronie „Solidarności”, a tymczasem... Przeczytajcie!

W 1989 r. kandydował do Senatu. Przegrał, a obwiniał o to... Przeczytajcie!

Dariusz Rymar nadał swojej książce tytuł „Przegrałem jak żołnierz”. Tak, Zdzisław Morawski przegrał, ale ile w nim było prawdziwego żołnierza wielkiej sprawy, a ile koniunkturalisty... Trzeba przeczytać.

*

Dariusz Rymar świadomie nie zajmował się twórczością Zdzisława Morawskiego. Zrobił tylko jeden wyjątek: pokazał, jak w opowiadaniu „Partia z panem Gensche” autor ujawnił swoje opory przed nawiązaniem współpracy ze stowarzyszeniem ziomkowskim. Można odrzucić twórczość, ale moim zdaniem decyzyja taka bardzo zubożyła sylwetkę.

Od 2018 r. mamy dostęp do niedrukowanych powieści i opowiadań Zdzisława Morawskiego. One wyrastają z jego życia. Doświadczenia ojca jako przywódcy robotników, który ich zawiódł, Morawski pokazał w sztuce „I wszyscy bronili swojej drogi”. O pracy w Urzędzie Bezpieczeństwa opowiedział w powieści „Dzień zaczyna się rano”. Środowisko inteligencji Gorzowa końca lat 60. pokazał w powieści „Miłość usunie tę żalobę”. Zderzenie miejskich władz i struktur „Solidarności” to temat powieści „Pałac ślubów”.

Głównym bohaterem wielu powieści i opowiadań jest dziennikarz ze stolicy, który przyjeżdża do powiatowego miasta, by obserwować, co się tam dzieje. Patrzy, analizuje, ocenia, ale nie angażuje się w lokalne problemy. Zdzisław Morawski także chciał stać ponad miejskim zgiełkiem, być wyżej, być mentorem. Wymienione wyżej utwory nie były publikowane i pewnie nie będą, bo ich walory literackie są mierne. Ale o autorze mówią bardzo dużo. Kto się nimi zajmie?

Dariusz Rymar przesłizgnął się po powieści „Nie słuchajcie Alojzego Kotwy”, a Morawski podejmuje w niej kluczowy problem: jak manipuluje się prawdą, jak utrwała się wersję nieprawdziwą, komu i dlaczego zależy na zakłamaniu przeszłości.

On także manipulował prawdą, on także budował swoją przeszłość, by była taką, jaką chciał, by była.

*

Wcześniej poznałam archiwum pisarza, teraz książkę Dariusza Rymara. Z tej perspektywy Zdzisław Morawski, autorytet gorzowskiej kultury, jawi mi się jako postać tragiczna. Tragiczna z powodu rozdźwięku między tym, jak chciał, aby go widziano, a tym, co wnosił naprawdę.

Z rodzinnych tradycji i od wczesnej młodości związany był najpierw z PPR, a później z PZPR. Ideologii tej wierzył do końca, choć coraz bardziej widział jej pustkę. By zakłamać tę pustkę, kluczył, motał, wyszukiwał tematy zastępcze. Zawierzył ideologii i przegrał. Postać tragiczna. Temat na wielką powieść, której nie miał odwagi napisać.

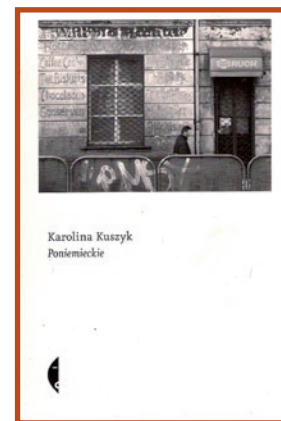
Krystyna Kamińska

Dariusz Aleksander Rymar, „Przegrałem jako żołnierz. Zdzisław Morawski (6 IX 1926 – 28 X 1992). Biografia polityczna”, wydaw. Akademia im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2020, 164 s.

NASZE DWIE TOŻSAMOŚCI

Spotkanie z czytelnikami w naszej bibliotece Andrzej Stasiuk rozpoczął od pytania: Jak wam się żyje w tym niemieckim świecie? Popatrzyliśmy na niego, popatrzyliśmy na siebie. Jakim niemieckim? Polacy są tu od ponad 70 lat, urodziło się, urosło, a nawet przeszło na emeryturę całe pokolenie. Jak można ciągle wspominać nam niemiecki świat!

Karolina Kuszyk także bardzo się zdziwiła, gdy u jej rodziców w Legnicy jej niemiecki mąż odkrył, że pod spodem takiej małej miseczki widnieje... swastyka. Miseczka była poręczna, używana od zawsze i nikt nie zauważył, że znak firmy, która ją wytworzyła, zawiera symbol władzy Hitlera. To zdarzenie stało się początkiem jej książki pt. „Poniemieckie”.



*

Korzenie Andrzeja Stasiuka sięgają terenów na wschód od Warszawy, od lat mieszka na Podkarpaciu, na rzut kamieniem od Słowacji, jeździ przede wszystkim do krajów Europy Środkowej i Rosji, kocha tamten świat. Z tamtej perspektywy zobaczył, że nam bliżej do Berlina niż nie tylko do Moskwy, ale nawet do Lwowa. I nie chodzi tu o liczbę kilometrów, a o mentalność społeczną. A więc nie do etnicznie słowiańskich korzeni, a do germańszczyzny. Gdy pojedę na wschodnie ziemie polskie, zwiedzam je z ogromnym zainteresowaniem, podziwiam zabytki i ludzi, ale duchowo to nie jest mój świat. Z przyjemnością wracam do siebie: na zachód.

*

Karolina Kuszyk z Legnicy zgromadziła ogromny zasób informacji o naszym – Polaków – stosunku do tego, co było niemieckie. Przekopła się przez tomy wspomnień bezpośrednio powojennych, przede wszystkim niepublikowanych, bo w publikowanych reakcje prawdziwe były wykreślane jako nieprawomyślne, przeczytała całą literaturę związaną z tematem osiedlenia na zachodzie, rozmawiała z dziesiątkami ludzi z różnych środowisk, ożywiła wspomnienia własne i swojej rodziny. Sięgnęła także do źródeł niemieckich, ale raczej związanych z obyczajowością niż wypędzeniami. Naprawdę materiał dokumentacyjny, w jakim się porusza, jest gigantyczny.

W oparciu o tę wiedzę prześledziła, jaki był i jak się zmieniał nas, Polaków, stosunek do (to są tytuły rozdziałów): domów, mebli, drobnych rzeczy (słoiki, obrazy i obrazki, pocztówki), skarbów i tajemnic, cmentarzy oraz miejsc, w których żyjemy – w jej przypadku – Legnicy.

*

Najpierw było niszczenie wszystkiego, co pozostało po Niemcach, bo przecież oni tyle nam krzywd wyrządzili. Doszło do tego polityczne przekonanie, że „myśmy tu nie przyszli, myśmy tu wrócili”, a więc kultuwujemy wyłącznie to, co ma choćby niewielki związek ze Słowiańszczyzną, a co niemieckie rugujemy. Po emocjonalnym przyszedł etap racjonalny: nie da się negocjować tego, co było przez wieki, a więc trzeba zaakceptować, a nas uczynić spadkobiercami, którzy budują kolejny etap życia na tych ziemiach. Jeśli nie jesteśmy wyłącznymi właścicielami, to – jak nazwał Zdzisław Morawski – dzierżawcami z ich prawami, ale i obowiązkami.

Teraz przyszedł czas zasiedzenia. To wszystko jest już nasze nie tylko politycznie, ale mentalnie, stąd szukanie korzeni w kulturze dawnych mieszkańców, w ich legendach, w ich potrawach itd. Chcielibyśmy mieć dawne meble, takie same filizanki, nawet oleodruki z Aniołem Stróżem, który przeprowadza dziecko mostkiem nad rwącą rzeką.

*

Oczywiście procesy te różnie przebiegały, a zależało to od warunków gospodarczych, od zasobności, a przede wszystkim od ludzi. My, w Gorzowie, możemy się szczycić tym, że jako jedni z pierwszych znaleźliśmy wspólny język z dawnymi mieszkańcami Landsbergu i dużo wspólnie dla miasta zdążyliśmy zrobić. Materialne dowody to fontanna Pauckscha na Starym Rynku, Dzwon Pokoju na placu Grunwaldzkim, ale ważniejsze są wartości niematerialne: akceptacja dla niemieckiej historii miasta.

Jednym z ważniejszych bohaterów książki Karoliny Kuszyk pt. „Poniemieckie” jest Zbigniew Czarnuch, orędownik takiej własnie ideologii. Przyznaję, że należę do „stajni Czarnucha”, że przez wiele lat pod jego kierunkiem poznawałam dalszą i bliższą przeszłość nie tylko Ziemi Lubuskiej po naszej stronie Odry, ale także zaodrzańskiego sąsiedztwa z Berlinem włącznie. Nasza historyczna Nowa Marchia nigdy nie była regionem bogatym, Gorzów wystrzelił dopiero w połowie XIX wieku, ale tu mieli swoje letnie rezydencje berlińscy notable. Tu rozwijała się kultura ludowa, choć bardzo etnicznie zróżnicowana. Tu mieliśmy egzotyczną Nową Amerykę z oryginalnymi, amerykańskimi nazwami wsi. Niestety, podczas politycznego szukania słowiańskich korzeni wyrugowano Amerykę. Szkoda.

*

Mieszkam w dzielnicy zbudowanej w latach 90., w moim domu nie ma niczego, co by pochodziło od przedwojennych Niemców. Takie mam wrażenie, choć może jakaś miseczek... A jednak serce naszego miasta ma układ ulic ukształtowany przed wiekami przez wzorzec niemiecki. Choć miasto było bardzo zniszczone, to jednak sporo ulic przypomina ulice miast niemieckich. W Gorzowie nikt nie przeprowadził takiej analizy, ale gdy Zbigniew Czarnuch oglądał swoją Witnicę, to ustalił, że po wojnie wszystkie, absolutnie wszystkie niemieckie obiekty użyteczności publicznej zostały automatycznie przekształcone w polskie: kościół, szkoła, poczta, magistrat, ośrodek zdrowia, straż pożarna, nawet siedziba organizacji kobiecej.

*

Karolina Kuszyk kończy swoją książkę ważnym przesłaniem: *Jestem przekonana, że musimy opowiadać sobie poniemieckie na różne sposoby, wstuchiwać się w to, co mówią i o czym milczą ci, którzy wkrótce odejdą. Że musimy poniemieckie tłumaczyć pokoleniu wstępującemu jak potrafimy najlepiej, bez pomijania tego, co wstydlive czy blabe. Otwierać drzwi mieszkań potomkom ludzi, którzy w nich dawniej mieszkali, i przyglądać się naszym poniemieckim rzeczom i krajobrazom po prostu dlatego, że od ponad siedemdziesięciu lat nas stwarzają. Człowiek ma prawo mieć kilka tożsamości. Poniemiecką też. Jeśli będziemy za wszelką cenę sprawiać sobie czysty rodowód, jeśli będziemy okopywać się w twierdzy absolutnej polskości, pewnego dnia może się okazać, że znów zostaliśmy urządzani wbrew swojej woli i nie zrobiliśmy nic, by temu zapobiec.*

*

„Poniemieckie” Karoliny Kuszyk to jednocześnie reportaż historyczny, zbiór esejów, pamiętnik rodzinny i pewnie jeszcze parę gatunków można by tej książce przypisać. Najważniejsze, że czyta się ją świetnie, a ilość opowieści o ludziach stwarza poczucie obcowania w wielość powieściowych fabuł. Dla mnie przedstawiona tu ideologia związków z poniemieckim, a nawet z niemieckim, odkryciem nie była, ale jednocześnie nikt nigdzie dotąd tak jednoznacznie jej nie wyłożył.

Autorka miała być na spotkaniu w bibliotece najpierw w marcu, potem termin przesunięto na początek maja, ale wiadomo, z jakich powodów do nich nie doszło. Jednak gdy tylko ustąpią te przyczyny, Karolina Kuszyk powinna do nas przyjechać, by przekonać nas, że dwie tożsamości to nie wada, a korzyść, jaką czerpiemy z historii miasta, w którym mieszkamy.

Karolina Kuszyk, „Poniemieckie”, Wydaw. Czarne, Wołowiec 2019, 460 s.



CZY BĘDZIE SERIAL?

Ukazała się trzecia część „Wendyjskiej winnicy” Zofii Mąkosi. Za dwie pierwsze, czyli za „Cierpkie grona” wydane w 2017 r. i „Winne miasto” wydane w 2019 r., autorka zdobyła Lubuskie Wawrzyny Literackie. Trzeci tom pt. „Dolina nadziei” kończy epicką opowieść o niemieckich i polskich bohaterach, której akcja trwa od 1938 do 1950 r.

*

Akcja „Cierpkich gron” Zofii Mąkosi toczy się głównie we wsi Chwalim (niem. Altleben), leżącej w gminie Kargowa, w obecnym powiecie zielonogórskim. Obok Niemców mieszkała tam ginąca grupa etniczna Słowian wyznania luterańskiego zaliczana do Łużyczan albo Wendów. Do granicy z Polską było kilkanaście kilometrów.

Główną bohaterką była Marta Neumann, Niemka, luteranka, ale która od święta zakłada otoczony w rodzinie pieczęć strój wendyjski, a więc nie wstydy się swoich słowiańskich korzeni. W gospodarstwie pomagała jej Janka Kaczmarek, także Niemka, ale katoliczka, mająca rodzinę tuż za granicą z Polską. Mężem Marty był Walter, rodowity berlińczyk, którego matka, brat, bratowa Ewa i bratankowie mieszkają w stolicy. Państwo Neumann mają córkę, na początku 14-letnią Matyldę, czyli Tilię. Taki dobór głównych bohaterów dał autorce możliwość ukazania rozmaitych problemów tamtych lat. Czytelnicy śledzą ich losy do wkroczenia Armii Czerwonej. Tego dnia Marta Neumann już nie żyje, a samotna Tili w bardzo mroźną noc ostatkiem sił zdążyła do Sulechowa. Czy przeżyje?

*

Z lektury części drugiej pt. „Winne miasto” wiemy, że przeżyła, ale nie wróciła na wieś, a zamieszkała w Zielonej Górze. Akcja powieści obejmuje trzy bardzo trudne lata, od zimy 1945 do początku 1948 r. Matylda (Tili, także Tila) nie ma nikogo bliskiego poza ciotką Janką, która pozostała w Chwalimiu. Wszyscy sąsiedzi, także koleżanki i koledzy, łącznie z narzeczonym, rozpierzchli się po świecie. Tila jest sama, nie ma gdzie ani do kogo jechać, więc zostaje w Zielonej Górze. Ma poczucie, że jest Niemką, ale całkiem swobodnie mówi po polsku, a wrodzona życzliwość pomaga jej znaleźć pomocnych ludzi. Autorka znów tak dobiera bohaterów, by na ich przykładach pokazać wszystkie najważniejsze procesy tamtych lat: biedę, zimno, brak mieszkań, brak pracy, a także polityczną indoktrynację i przemoc Służby Bezpieczeństwa. Niewielu jest tu Niemców, którzy pozostali, więcej tych ze wschodu, z centralnej Polski, ale są i ci, którzy na pobliskich ziemiach (Nowe Kramsko, Babimost) kultywowali polskość. Losy Tili są gwałtowne, ale i wzruszające. Czasami jest tak załamana, że myśli o samobójstwie, a czasami bywa w siódmym niebie. Ale to niebo nie jest trwałe i Matylda decyduje się na wyjazd do Niemiec.

*

Rozpoczyna się trzecia część opowieści. W lutym 1948 r. Matylda jedzie do Neuruppin, do miasta, które patro-

nowało przesiedlanym mieszkańcom z Sulechowa i okolic. Zamieszkało tam wielu sąsiadów z Chwalimia (Altreben), więc ona jedzie do swoich, do sąsiadów. Równoległe autorka pokazuje losy Ewy Neumann, ciotki, która przetrwała wojnę w Berlinie, a teraz pracuje przy łączeniu zagubionych członków rodzin. Ewa mieszka w strefie amerykańskiej Berlina, Matylda osiada w Neuruppin, mieście położonym ok. 60 km na północ od Berlina, w strefie radzieckiej. Takie usytuowanie bohaterki pozwala autorce pokazywać polityczne przemiany w obu strefach. Czytelnik śledzi także losy bohaterów z Zielonej Góry oraz ciotki Janki z Chwalimia. Dzięki nim mamy panoramę polskich przemian w mieście i na wsi.

Bardzo trudne było życie Matyldy w Neuruppin, bo trudne było życie wszystkich Niemców po wojnie. Działania wojenne już zakończono, ale wojna w ludziach ciągle żyła: odbijała się na ich zdrowiu, na zerwanych więzach rodzinnych, na niedostatku, na braku mieszkań, a przede wszystkim na braku nadziei.

Dzięki skomplikowanym, ale prawdopodobnym zwirotom akcji Matylda jedzie do zachodnich Niemiec, nad Ren i Mozelę. Kolejny start jest równie trudny jak tamte w Zielonej Górze i w Neuruppin. Ale tu jest to, co najważniejsze – nadzieja. Tu nareszcie Matylda może liczyć na stabilizację dla siebie i dla córki.

*

Trzy tomy opowieści o młodej dziewczynie, która musi w sobie znaleźć siłę, by normalnie żyć, czyta się z dużym zainteresowaniem. Lubimy Tilę, rozumiemy jej kłopoty, ale ciągle żyjemy nadzieją, że będzie lepiej. Losy tej młodej kobiety zmagającej się z różnymi przeciwnościami wpisane są w wielkie przemiany Polski i Niemiec. Osadzenie akcji w okresie od 1938 do 1950 r. sprawiło, że dostaliśmy powieść historyczną.

Dotąd w polskiej literaturze nie było spojrzenia na wojnę i późniejsze przemiany na ziemiach przekazanych Polsce z perspektywy Niemca (Niemki). Exodus swojej rodziny z Gorzowa do miejscowości w strefie radzieckiej opisała Christa Wolf we „Wzorcach dzieciństwa”, ale ona była uczestniczką tej wędrówki. O powojennym Berlinie pisali tylko Niemcy. 70 lat po zakończeniu wojny Zofia Mąkosa, która nie doświadczyła wojny, ze współczuciem pisze o Niemkach. Dla Zofii Mąkosy nie jest ważne, że Matylda jest Niemką. Dla autorki przede wszystkim jest kobietą poszkodowaną przez tragiczną historię ze skomplikowanymi relacjami z innymi ludźmi, z problemami dotyczącymi dzieci, z koniecznością codziennego zmagania się o miejsce na ziemi dla siebie i córki.

*

Losy Matyldy Neumann wpisane w polskie i niemieckie życie po wojnie są doskonałym materiałem na serial. Mam nadzieję, że poszukiwacze tematów niebawem zainteresują się „Wendyjską winnicą”.

W każdej części tej trylogii jest także winnica, choć każda gdzie indziej. A winnica niesie słodycz i smak winogron oraz dobre wino...

Zofia Mąkosa, „Dolina nadziei”, część trzecia cyklu „Wendyjska winnica”, Poznań 2020, 432 s.

POSTKOLONIALNY PRZYPADEK

czyli **MY**

Pełny tytuł książki Arkadiusza Kalina to „Mit Ziem Odzyskanych w literaturze. Postkolonialny przypadek Ziemi Lubuskiej”.

Nie lubimy kolonializmu, zawsze źle nam się kojarzy polityka państw rozwiniętych gospodarczo, która – jak głosi definicja w Wikipedii – „polega na utrzymywaniu w zależności politycznej i ekonomicznej krajów słabo rozwiniętych oraz wykorzystywaniu ich zasobów ludzkich i surowcowych”. Natomiast postkolonializm to według tejże Wikipedii „dyscyplina naukowa opierająca się na intelektualnym dyskursie, który służy do analizowania i wyjaśniania zarówno kulturowych pozostałości kolonializmu i imperializmu, jak i badania konsekwencji kontrolowania kraju i zasiedlania”.

Co mogą mieć wspólnego z naszą, oswojoną Ziemią Lubuską groźny proces kolonizowania, a tym bardziej naukowe rozliczenia postkolonializmu?

*

Pierwsze zdanie autorskiego wstępu brzmi: „W niniejszej książce podejmuję kulturową problematykę mitu politycznego Ziem Odzyskanych i kwestię jego reprezentacji w twórczości literackiej, skupiając się szczególnie na ukonstytuowanym po wojnie regionie Ziemi Lubuskiej”.

W części pierwszej autor zajął się „Narracjami kulturowymi”, czyli dokonał głębokiej wiwisekcji stosunku politycznego i kulturowego do ziem na wschodzie w przedwojennej oraz ziem na zachodzie w powojennej Polsce. Zaś w części drugiej zatytułowanej „Narracje literackie” analizuje wszystkie teksty literackie dotyczące Ziemi Lubuskiej w aspekcie realizacji tego mitu zbudowanego przez powojenną politykę. Czyli: część pierwsza daje podłoże teoretyczne, zaś część druga obrazuje jego realizację.

*

Za ważny wkład do polskiej nauki uważam część pierwszą książki o naukowym i politycznym stosunku do rozległych terenów wschodnich przedwojennej Polski oraz przeniesienie tego myślenia na tereny zachodnie po zakończeniu wojny. Po wojnie była to również odpowiedź na niemieckie parcie na wschód. My odpowiedzieliśmy parciem na zachód. Wykorzystywano jako argument pierwotne słowiańskie zasiedlenie tych terenów, co historycznie można udokumentować, ale kulturowych śladów już zabrakło. Ta część książki jest obszerna, erudycyjna, napisana językiem naukowym, z bardzo licznymi odwołaniami. Ogromną pracę włożył autor, by zanalizować problem i przekonać czytelnika o kolonialnym charakterze tamtej polityki. Na tym podłożu mógł przystąpić do czytania dzieł literackich.

*

Po wojnie migracje objęły nawet 30 milionów ludzi, dla wielu przesiedlenie było najważniejszym wydarzeniem życia, a budowanie nowego świata miało ogromne znaczenie dla całego państwa i społeczeństwa. To znakomity temat dla literatury. Tymczasem na pytanie, w jakim dziele artystycznym to zjawisko zostało najbardziej pokazane i utrwaliło się w powszechnej świadomości, odpowiedź mamy jedną: w filmie „Nie ma mocnych”.

Dlaczego nie powstało dzieło literackie o podobnej randze? Przecież liczba reportaży, opowiadań i powieści o migracji i budowaniu nowej rzeczywistości jest naprawdę duża, na ten temat pisali znani później twórcy jak Lem, Różewicz, Konwicki, a jednak żaden utwór nie wytrzymał próby czasu. Arkadiusz Kalin szczegółowo analizuje dużo tekstów dotyczących Ziem Odzyskanych, a na pewno wszystkie tematycznie lub miejscem za-

mieszkania autora wiążące się z Ziemią Lubuską.

*

Wnioski zebrane po lekturze zakurzonych dziś książek i pism może nie są całkiem nowe, ale zebrane i znakomicie udokumentowane stanowią ważne podsumowanie.

Od dawna było wiadomo, że na kształcie tych dzieł literackich zaważyła przede wszystkim ideologizacja czasów, w jakich powstawały. Ciekawe jest obserwowanie, jak na rzeczywistość przedstawioną oddziaływały polityczne kierunkowskazy i ich wcielane w życie akceptowane wzorce, jak działała cenzura, a może jeszcze bardziej autocenzura, na jakie ustępstwa godzili się autorzy, aby ich dzieła mogły być opublikowane. Oczekiwana przez władze tendencyjność skutkowałą brakiem autentyzmu, budowaniem mało prawdopodobnych charakterów i sytuacji. Czytelnik jest bardzo czuły na wszelkie przekłamania i od razu odrzuca taką lekturę.

W polityce PRL-u najważniejsze było to, co pochodziło z Warszawy i miało charakter uniwersalny. Tymczasem literatura o Ziemiach Odzyskanych z natury traktowała o regionie w kilometrach dość dalekim od stolicy i o procesach tam w zasadzie nieobecnych. Od razu więc klasyfikowana była jako drugorzędna. Już przed wojną tematyka wielkopolska czy górnośląska była traktowana podrzędnie. Po wojnie tę miarę przeniesiono również na literaturę dotyczącą ziem zachodnich.

Oczywiście wskazane tu zasadnicze tendencje na przestrzeni lat ulegały modyfikacjom. Miejsce radości z nowego miejsca do życia zajmowała tęsknota do miejsc pozostawionych, inaczej na ten sam temat pisano bezpośrednio po wojnie, inaczej 20, a jeszcze inaczej 40 lat później. Miejsce poważnego ujęcia tematu coraz częściej zajmowały żart lub groteska. Inne spojrzenie miał dorosły człowiek, inaczej te same sprawy widział dziecko. Niemcy traktowani początkowo wyłącznie jako wrogowie z czasem stawali się dawnymi gospodarzami tych ziem. Arkadiusz Kalin szczegółowo śledzi wszystkie te przemiany, traktując je właśnie jako argumenty do badania zjawisk postkolonialnych.

*

Na stronie internetowej Akademii im. Jakuba z Paradyża czytamy, że Arkadiusz Kalin jest absolwentem polonistyki UAM w Poznaniu, doktorem nauk humanistycznych, adiunktem Akademii im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wielkopolskim, członkiem Pracowni Badań nad Literaturą i Czasopiśmiennictwem Pogranicza działającej w ramach Akademickiego Centrum Badań Euroregionalnych w Gorzowie Wielkopolskim.

Książka Arkadiusza Kalina o micie Ziemi Odzyskanych w literaturze liczy 628 stron, z czego strony od 581 do 619 zajmuje bibliografia. 40 stron samego wyliczenia przeczytanych pozycji, w tym na pewno wielu bardzo obszernych.

Wkład Arkadiusza Kalina do analizy politycznych i kulturowych przemian na ziemiach zachodnich oceniam bardzo wysoko, zaś omówienie literatury dotyczącej naszego regionu jako wzorcowe.

Jestem przekonana, że ta rozprawa bezdyskusyjnie da mu tytuł doktora habilitowanego nauk humanistycznych. Moim zda-



niem powinna dać mu również Lubuski Wawrzyn Naukowy, ale tu szkopuł: książka nosi datę wydania 2019, choć naprawdę ukazała się niedawno, czyli w 2020 r. Czy organizatorzy konkursu ją dopuszczają do przyszłorocznej edycji – zobaczymy.

Na pewno natomiast książką tą Arkadiusz Kalin wysoko podniósł rangę swojej – a i także naszej, bo gorzowskiej – uczelni, czyli Akademii im. Jakuba z Paradyża.

Arkadiusz Kalin, „Mit Ziem Odzyskanych w literaturze. Postkolonialny przypadek Ziemi Lubuskiej”, wydaw. Akademia im. Jakuba z Paradyża, Gorzów Wlkp. 2019, 628 s.

ŁUCJA FORNALCZYK-FICE

PRZYJDZIE TAKI MOMENT, ŻE CZAS NIE ZAWRÓCI

Od początku obchodził się ze mną dyskretnie i łaskawie
Choć bez powrotu mijał
Tamtego lata brzdęknął Potem zazgrzytał
I spadł z horyzontu na moją niepamięć
Oszukał mnie
Został zapach Twojej koszuli jak zapis partytury
Zapisany madrygał Twojego życia
Choć czarne rajstopy odeszły do szuflady
To jakieś ciernie wciąż szlifują mi duszę
Mam popękane nie tylko serce
Od słów co miały być ciałem
Wszystko teraz jest ochłapem czarnym i cierpkim
Odszedłeś a ja żyję w cieniu Twoich ostatnich słów
PRZYJDZIE TAKI MOMENT

LECH JAKUBOWSKI

* * *

Poeta i sejsmograf
wyczuwają pod skórą ziemi
jeszcze nie wstrząs
pomruk ledwie
poeta mówi
poeta uprzedza
jego głos
nie szept
słabo słyszalny
w pierwszym rzędzie
krzyk na puszczy
zamróż na szybach
ważniacy
biorą
rzecz w swoje ręce
gdy mleko już rozlane
tak z małej kałuży
rodzi się dorosła powódź

(Z tomiku „Persyflaż słowiarza”, Gorzów Wlkp. 2020)

ANTOLOGIA Z ODKRYCIEM

Z okazji 70-lecia Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy Lubniewice wydała książkę o dwujęzycznym tytule: „Poezja w moim sercu. Poesie in meinem Herzen”. Jest to antologia wierszy autorów z Lubniewic i Schöneiche bei Berlin – gminy od lat współpracującej z Lubniewicami.

Do tomiku weszły wiersze siedmiu autorek z Lubniewic. Największą kulturą literacką wyróżnia się **Hanna Bilińska-Stecyszyn**, która tu pokazuje literacką zabawę słowem. Wszystkie jej utwory nazwać można fraszkami, ale one dzielą się na: **altruiki, lepieje, limeryki, moskaliki i odwódki**.

Altruiki (od altruizmu) zawierają zalecenia, np.:

*Oszczędzając sądu pracę
sam się bracie zamknij w pace.*

Lepieje (od lepiej...) ustawiają gradację, np.

*Lepiej mieć świerzb z dyzenterią,
niżli być przesadnie serio.*

Limeryki (gatunek literacki o żelaznych zasadach: pięć wersów, bohater, opowieść, układ rymów) są minipowieścią lub traktatem filozoficznym, np.

*Pewien nerwowy pan z Lublina
ciągle się spinał i rozpinął
a panie
wolą rozpinanie
i to konfliktów jest przyczyna.*

Moskaliki (od: Kto powiedział, że Moskale...) ukazują ułudę, a przepowiadają następstwa, np.

*Kto naiwnie jeszcze wierzy
w PeO, PeeSeLe i PiSy,
tego młotkiem wnet należy
mocno puknąć w baniak tysy.*

Owódky (nowy gatunek zbudowany na wzór znanego powiedzenia: Od wódki rozum krótki) to już czysta zabawa, np.

*od winka
globus i świnka
od śliwowicy
złamanie miednicy
od siwuchy
smrodliwe ciuchy.*

Hanna Bilińska-Stecyszyn jest autorką książki pt. „Pelunia” nominowanej do tegorocznego Lubuskiego Wawrzynu Literackiego, opublikowała kilka opowiadań, prowadzi blog, w którym zamieszcza wiele swoich bardzo udanych prac literackich. Ale jej talentu do zabawy słowem dotąd nie znałam. Więc – odkrycie!

Inne autorki z Lubniewic to: Teresa Goździak, Bernadeta Kajdan, Katarzyna Kołodziejczak, Reneta Kosowska, Olga Nowakowska. Bernadeta Kajdan przed laty wydała tomik wierszy (jeszcze pod panięńskim nazwiskiem Doberschutz), więc miło ją znów powitać z wierszami. Twórczości innych pań nie znam, a w tomiku nie ma informacji o ich wcześniejszych dokonaniach.

Jedne utwory wyrastają z poetyckiej duszy, inne z ludowej tradycji. Jedne bardziej oscylują ku prawdom uniwersalnym, inne otwarcie deklarują temperaturę własnych uczuć. Jedne czyta się dobrze, inne mniej, a niektórych nie dopuściłabym do druku.

Kilka wierszy to za mało, aby wystawiać ocenę, więc indywidualnych ocen autorek tu nie będzie.

Nie będzie także ocen wierszy pięciu autorów z Schöneiche. Tu prezentują się sami panowie: Peter Dehmel, Klaus Hennig, Achim Nowak, Erhard Scherner i Marcel Schock. Wiersze opublikowano w oryginale, nie są tłumaczone na język polski. Podobnie nie ma tłumaczeń polskich wierszy na język niemiecki.

Uczczenie jubileuszu książką to najlepszy sposób, bo przecież książka zostanie na długo, a wszystkie inne formy po prostu przemijają.

Lubniewice są znaną miejscowością wypoczynkową, przyjeżdża tam wielu gości, wszyscy zachwycają się tamtejszą przyrodą. Są wśród nich także poeci, którzy opiewają jej uroki. Tu po raz pierwszy prezentują się mieszkańcy, dla których uroda Lubniewic nie jest niczym niezwykłym. Mogły więc dojść do głosu inne uczucia i inne obserwacje. Ważne, że wyraziły je mieszkanki tej właśnie miejscowości.

Autorem opracowania graficznego jest Kamil Sakowski. Książka nie ma karty tytułowej. Dlaczego? Przecież szczególnie w bibliotece dane z karty tytułowej są najważniejsze.

„Poezja w moim sercu. Poesie in meinem Herzen. Antologia wierszy autorów z Lubniewic i Schöneiche bei Berlin”, red. Marta Rusakiewicz, wydaw. Biblioteka Publiczna Miasta i Gminy Lubniewice, Lubniewice 2020, 68 s.



BERNADETA KAJDAN

NIEZWYKŁY DZIEŃ

*Po pajęczynie znanych ścieżek
Nie gubiąc dat z kalendarza
Idziemy w dni, co gdzieś się łączą
Po tamtej stronie niezwykłych zdarzeń.*

*Za myślą myśl oddaje czas
Rodząc w nich przeznaczenie
Jak sen, co kamień zmienia w głaz
A później znów skruszeje.*

*A kiedy dzień do życia wraca
Niosąc radosnych dni przetrwanie
Tam miłość kwitnie dni nie tracąc
Splatając dłonie jednym zdaniem.*

NIEPEWNOŚĆ

*Nie próbuję zawrócić drogi
Za mną przetarty szlak
Na mojej drodze tylko przez moment
Zwątpiłam*

*Ukrywając w poezji miłość
Lepiej siebie
Bez zginania ciała
Ku ziemi
Podrywam z łatwością*

*Stopy
Nie patrząc przez ramię*

*Nie zauracam drogi
Wpisuję ją w pamięć.*

OD PRZYPADKU
DO NAUKI

Pewnego razu do piwnicy w budynku rektoratu Akademii im. Jakuba z Paradyża dostała się woda. Pani rektor Elżbieta Skorupska-Raczyńska poprosiła jednego ze swoich współpracowników, żeby zszedł do piwnicy i zobaczył, ile tej wody jest. Rozumie się samo przez się, że wszyscy współpracownicy pani rektor to osoby wykształcone i myślące racjonalnie. A ten wrócił i mówi: ciut ciut. Tu kładę dowiec, bo naprawdę nie pamiętam, czy było właśnie „ciut ciut”, a może „po kostki”, a nawet „po kolana”. Ale rzecz nie w tym, ile tej wody było naprawdę, a właśnie w określeniu jej głębokości. Pani rektor jest profesorem doktorem habilitowanym, specjalistką w zakresie języka polskiego, przy tym osobą szalenie precyzyjną. Postawiła więc pytanie: ile to jest „ciut ciut”, ile „po kostki”, ile „po kolana”. Przecież to duża różnica, czy miarą będzie odległość od ziemi do jej kolan, czyli damskich i to rozmiaru „S”, czy rosnącego mężczyzny. Nie po to nauka stworzyła cały system miar, żebyśmy się posługiwali określeniami mało precyzyjnymi, co najwyżej umownymi.

Natychmiast uruchomiło się naukowe myślenie pani rektor, że jest to znakomity temat do zbadania. I tak z powodu wody w piwnicy rektoratu powstała książka Elżbiety Skorupskiej-Raczyńskiej „Półgębkiem w pół słowa” z podtytułem „Leksyka typowych i nietypowych miar, wag i wartości”.

Anegdotę tę opowiedziała sama pani rektor na antenie Radia Zachód. Naprawdę nie zapamiętałam, ile tej wody wtedy było, więc przepraszam, ale dla sprawy jej poziom nie ma znaczenia.

*

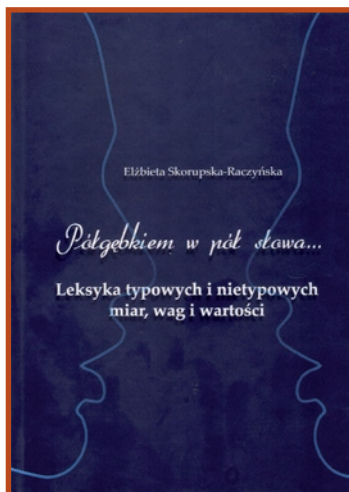
W trakcie zbierania takich nietypowych określeń okazało się, że dotyczą one nie tylko głębokości, ale także prędkości, światła, wartości ułamkowych, jakości, piękna i brzydoty, starych i młodych, osób niezaradnych życiowo. Każdemu z tych pojęć autorka poświęciła oddzielny rozdział, atrakcyjnie go tytułując, np. „Co koń wyskoczy” – o określeniach prędkości, „Grosz do grosza” – o określeniach pieniądza, „Nie to co ładne, ale to co się komu podoba” – o miarach piękna i brzydoty, „Nie starzą lata, ale tarapata...” – o określeniach młodego i starego.

W sumie Elżbieta Skorupska-Raczyńska zgromadziła 2500 jednostek leksykalnych oraz 4300 „paremii wyekscerpowanych ze źródeł leksyko-graficznych i paremiograficznych”. (Tak, ja też musiałam zajrzeć do Wikipedii, aby się dowiedzieć, że paremia to jednostka językowa o pochodzeniu ludowym, np. przysłowia, porzekadła, zagadki itp., a źródła paremiograficzne to po prostu różne słowniki).

Spis tych wszystkich słów i zwrotów znajduje się na końcu książki. We mnie on wzbudził zachwyt dla języka polskiego, który jest tak bogaty w różne określenia wartości. A są tu zarówno książkowe, czyli erudycyjne, jak i wulgarne, np. dla określenia „ładny” stoją blisko siebie „gustowny” i „odpierdolony”.

*

Nie jest jednak sztuką zebrać ze słowników i innych źródeł cały zasób słów i wyrażań. Nauka musi je uszeregować, nadać porządek i sens. Nazwać.



Dla przykładu rozważania o świetle i ciemności. Oficjalną jednostką miary światła jest luks, ale nikt w potocznym języku tego określenia nie używa. Natomiast świetnie rozumiemy słowa: poblask, poświata, lśnienie, półcień, pomrok, ciemność itp. Na określenie jasności autorka znalazła 179 jednostek leksykalnych, a na określenie ciemności tylko 44. Do tego mamy ponad 70 przedmiotów służących do emanowania światła np. gromnica, łuczyczo, w tym aż 31 różnego rodzaju lamp (błyskowa, kwarcowa itp.), 9 rodzajów żarówek (halogen, czterdziestka) itd. itp.

Po zestawieniu terminów autorka analizuje ich frekwencyjność oraz różnicowanie i nacechowanie stylistyczne. Spośród 179 słów

tylko 6 należy do przestarzałych, neutralne stylistycznie są 53, do starannych zaliczyła 98, do codziennych 22. Co ciekawe, w tej kategorii nie ma słów wulgaryzmów.

Przytoczone przykłady i liczby to tylko fragmencik (mały fragmencik) rozważań o świetle i ciemności w naszym słownictwie. W tej książce każde zdanie warte jest uwagi.

*

W opinii o pracy Elżbiety Skorupskiej-Raczyńskiej prof. dr hab. Władysław Bryła napisał: „Z pełnym przekonaniem rekomenduję ją do opublikowania ze względu na wartości poznawcze jako studium językowo-kulturowe wzorcowe pod względem metodologicznym i treściowym. [...] [Autorka] przekonująco udowodniła, że prezentowane w pracy słownictwo jest różnorodne pod względem chronologicznym, pragmatycznym, stylistycznym i ekspresywnym. Monografia napisana jest pięknym językiem polskim, barwnym, z wystudiowaną składnią. [...] Mimo wielu faktów szczegółowych i wyliczeń, książkę bardzo dobrze się czyta”.

*

Na pewno naukowcy, przede wszystkim badacze języka polskiego, znajdą w najnowszej książce prof. Elżbiety Skorupskiej-Raczyńskiej wiele inspiracji do dalszych rozważań, ale przede wszystkim może ona być wzorcem metodologicznym. A zbudowanie systemu i określenie kryteriów w badaniach tak bogatego materiału jak słownictwo języka polskiego do zadań łatwych nie należy.

Natomiast zwykli zjadacze chleba (do których siebie też zaliczam) mogą się zachwycić nieprzebranym majątkiem słownym języka polskiego, jego bogatą frazeologią lub – jak określa to nowy termin – paremią. Autorka świadomie zrezygnowała ze słownictwa staropolskiego, już dziś zapomnianego, a mimo to nie pomniejszyła bogactwa języka polskiego. Dla mnie książka ta jest zachętą do zagłębienia się w pochodzenie wyrażań, w ich skojarzenia, a także wzloty i upadki w codziennym używaniu. Bardzo zachęcam do zapoznania się z najnowszą książką pani rektor. Książką zrodzoną z przypadku.

Elżbieta Skorupska-Raczyńska, „Półgębkiem w pół słowa. Leksyka typowych i nietypowych miar, wag i wartości”, wydaw. Akademia im. Jakuba z Paradyża w Gorzowie Wlkp., Gorzów Wlkp. 2019, 256 s.

ZAGADKA „MESJASZA” SKOJARZONA Z LUBNEM

Historia rodziny von Treichel z Lubna stała się jednym z dwóch wątków powieści Macieja Dudziaka pt. „Mesjasz. Rękopis zbrodni”.

*

7 marca 1937 r. po operacji wyrostka robaczkowego zmarł Hans Carl Victor von Treichel. Następnego dnia jego żona – Celina Sara Kamila popełniła samobójstwo. Małżonków pochowano w parku w sąsiedztwie ich pałacu w Lubnie. Obydwoje byli oddanymi zwolennikami Hitlera, co upamiętniają symbole na płycie nagrobnej. Pozostawili troje dzieci. Dwoma dziewczynkami zaopiekowała się siostra matki – Maimi von Mirbach. Mieszkała w Poczdamie, była wiolonczelistką i występowała w obronie... Żydów. Pieczę nad chłopcem i majątkiem w Lubnie sprawował Erich von dem Bach-Zelewski, wówczas przywódca NSDAP we Frankfurcie, potem dowódca wojsk tłumiących powstanie warszawskie.

*

Akcja powieści dzieje się w kwietniu 2010 roku, a więc dzieje rodziców są daleką przeszłością. Ich młodsza córka Marina Celina von Treichel jest teraz mocno starszą, elegancką panią. A syn...

*

Drugi wątek powieści wiąże się z zaginionym dziełem Bruno Schulza, znakomitego pisarza z Drohobycza, autora „Sklepów cynamonowych” i „Sanatorium pod Klepsydrą”. W czasie wojny napisał powieść pt. „Mesjasz”, ale nie wiadomo, co się z nią dalej stało. Dwa sygnały, że rękopis się odnalazł, okazały się mylne. Teraz „Mesjasz” wraca w powieści Macieja Dudziaka.

Pewien zasobny mieszkaniec Berlina otrzymał ofertę kupna oryginału „Mesjasza”. Aby sprawdzić wiarygodność oferty, wynajął Davida Sauera, profesora literatury z dalekiej Finlandii, który akurat dobrze zna język polski i twórczość Schulza. W poszukiwaniach towarzyszy mu dzielna stażystka policji z... Witnicy. Poszukiwania są niezwykle dynamiczne, bohaterowie znajdują się w Międzyrzeczu, Lwowie, Drohobyczu, Jerozolimie, Zurichu, po drodze pada kilka trupów. A gdy zagadka rękopisu „Mesjasza” już, już się wydaje rozwiązana, akcja nagle skręca w bok, pewnie, by umożliwić profesorowi Sauerowi udział w innych przygodach w zapowiedzianych kolejnych dwóch tomach: „Judasz. Odwrócona prawda” i „Kain i Abel. Koniec epoki”.

*

Doktor Maciej Dudziak jest pracownikiem naukowym Akademii im. Jakuba z Paradyża, pracuje w Zakładzie Kulturoznawstwa. Studiował na Uniwersytecie A. Mickiewicza w Poznaniu, Uniwersytecie Humboldtów w Berlinie oraz University of Jyväskylä (Finlandia się kłania). Napisał wiele prac naukowych, uczestniczył jako ekspert w rozlicznych projektach europejskich, zawsze ciekawie i chętnie wypowiada się na tematy związane z etnologią, czyli obyczajowością, tradycją, funkcją nauk humanistycznych, także kulturą regionu.

Jak się okazuje, właśnie znalazł nowe pole swojej obecności w kulturze regionu jako autor powieści sensacyjnych. Znaczącym walorem „Mesjasza” jest połączenie historii z najbliższej okolicy, a także późniejszych zdarzeń z Lubna, Witnicy, Międzyrzecza z nierozwiązaną zagadką o znaczeniu co najmniej ogólnopolskim, a jeśli włączyć gestapo i KGB (podejrzewani o przejęcie oryginału powieści) o zasięgu europejskim.

*

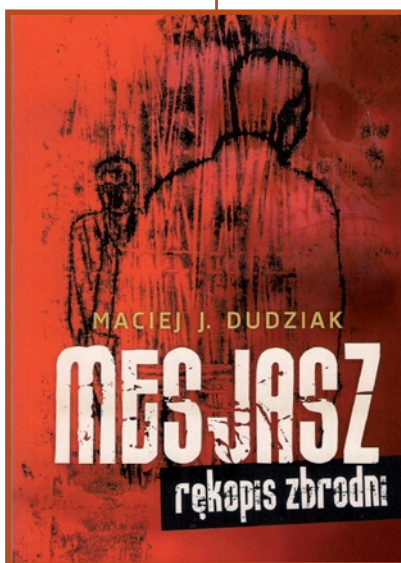
Akcja utrzymana jest w dobrym tempie, jej zwroty są uzasadnione, bohaterowie dzielni, a przy tym prawdziwi. Książkę czyta się bardzo dobrze, z dużym zainteresowaniem. Sympatycznie prezentuje się prof. Negrowski z Witnicy, który wszystko wie o przeszłości regionu (skąd my go znamy?). Mnie Maciej Dudziak zaskoczył... opisami przyrody. Zdanie: „Dniało zapachem mokrej miejskiej drogi” ma tylko pięć słów, a zawiera: porę dnia – świt, lokalizację – miasto, ale to nie ulica, a droga, więc gdzieś na peryferiach, jest mokra, więc niedawno musiał spaść deszcz, do tego jeszcze pachnie wilgocią. Czytelnik nie tylko widzi to miejsce, ale i czuje.

Z przyjemnością ogłaszam, że w Gorzowie narodził się nowy autor, który dobrze sobie radzi z pisaniem powieści gatunkowej.

Tylko w jaki sposób ma się o nim dowiedzieć świat? Książka wyszła w nieznanym gorzowskim wydawnictwie In Plus jako jego pierwsza publikacja. Wiemy już, że nie wystarczy napisać powieść, a nawet ją wydać. Najważniejsza okazuje się jej sprzedaż, czyli dotarcie do czytelników. Przy zalewie rynku czytelniczego przez setki całkiem niezłych książek, przebicie się debiutującego autora jest bardzo trudne. Pomóżcie mu. Książka jest w zasobach naszej biblioteki.

Życzymy Maciejowi Dudziakowi wielu czytelników.

Maciej J. Dudziak, „Mesjasz. Rękopis zbrodni”, wydaw. In Plus, Gorzów Wlkp. 2020, 263 s.



SYNDROM DRUGIEGO DZIEŁA

W 2017 r. Halina Elżbieta Daszkiewicz wydała powieść „Matylda, czyli Pora na życie”. Całkiem udaną powieść mocno osadzoną w gorzowskich realiach. Jej bohaterką była młoda emerytka – tytułowa Matylda – która poddała się rodzinnemu terrorowi i jako oddana matka i babcia całkowicie zatraciła siebie. Ale w pewnym momencie się ocknęła, uznała, że jeszcze pora na jej życie i zaczęła realizować swoje potrzeby i marzenia. Jednym z nich było uczestniczenie w życiu miasta, rodzinnego Gorzowa, co autorce dało okazję do opisanego naszych atrakcji w rodzaju festiwalu cygańskiego Romane Dyvesa lub Wigilii Narodów.

„Matylda II. Jak zabić muchę?” jest ciągiem dalszym pierwszej „Matyldy”. Ale nie radzę czytać tylko tej części, bo czytelnik nie zorientuje się, kto jest kim w licznych gronie rodziny i przyjaciół Matyldy. Na dodatek autorka jednym bohaterom odbiera ich podstawowe cechy, np. zakupoholizm Hanki, do innych powraca, choć już nie żyją, np. do Zenka z psem Felusiem. Niezmiennie, choć znacznie wyolbrzymione są podstawowe cechy głównych bohaterek: Matylda piecze ciasta, a Magda je zjada. Ten dobry pomysł do pierwszej części wprowadzający życzliwy humor, tu przeradza się w groteskę. Obok blach z ciastami Matylda piecze jeszcze placki ziemniaczane jako delicje swojej kuchni. I właściwie na tym kończy się rozwój postaci Matyldy. Co prawda uczestniczy ona w licznych miejskich zdarzeniach, co prawda autorka przywołuje nazwiska znanych osób i topografię miasta, ale dla fabuły nie mają one znaczenia. To, co się tam odbywa, przykrywają pospieszne i powierzchowne dialogi koleżanek o niczym.

*

A przecież co najmniej dwa zasygnalizowane wątki mogłyby nadać tej powieści głębsze znaczenie. Pod koniec pierwszej części spełnia się największe marzenie Matyldy – poznaje interesującego pana. W części drugiej ten pan już jest, choć nie od razu wiadomo na jakich prawach. Matylda jest w nim zakochana jak nastolatka, natomiast on nie wie, jak będzie przyjęty. Żeby się lepiej poznać, wyjeżdżają na zimowe wakacje do Szklarskiej Poręby. Co tam było, nie wiemy. Matylda wróciła do domu, nie chciała się zatrzymać u Adama, bo tam nie miałyby co robić bez koleżanek. Ale ogólnie wszystko dobrze.

Halina Elżbieta Daszkiewicz podjęła bardzo ważny i trudny problem związków ludzi w wieku emerytalnym. Wszyscy chcemy być kochani, ci po sześćdziesiątce także. Ale o ile młodzi ludzie łatwo układają relacje między sobą, to wraz z wiekiem rośnie liczba zastrzeżeń. Czy on (ona) zaakceptuje moje przyzwyczajenia? Czy on (ona) pozwoli mi na moje gusty i upodobania? Czy moja fizyczność (zapach, krótkowzroczność, łysina) jej nie zrazi? Czy w jej (jego) szafie znajdzie się miejsce na moje ubrania? Matylda nie ma najmniejszych obiekcji: ona jest doskonała, a on musi ją zaakceptować. Pomysł takiego związku niósł możliwość bardzo ciekawych obserwacji i rozważań, ale autorka prześlizgnęła się po nim jak po lodzie.

Matylda pisze książkę o Nonci, czyli Alfredzie Markowskiej, Cygance (albo Romce), która uratowała dzieci z Holocaustu, a potem wychowała pokolenia gorzowskich Cyganów.

Matylda odwiedza babcię Nońcę, idzie do świetlicy prowadzonej przez Patryka dla cygańskich dzieci, przewijają się tam autentyczne postaci miejscowych Cyganów. Ale czytelnik nie poznaje ani babci, ani jej świata, ani nawet doznań Matyldy w kontakcie z Cyganami.

*

Na ładnej okładce młoda blondynka stąpa wśród kolorowych tulipanów. To na pewno nie jest Matylda, a tym samym przyszyły czytelnik na starcie zostaje wprowadzony w błąd.

Podtytuł książki „Jak zabić muchę?” znajduje uzasadnienie na niecałej stronie tekstu (s.157-158), w scenie, w której panowie nie mogą upolować muchy przy pomocy gazet, a Matylda czyni to szybko, używając właściwej packi. I już. Koniec tytułowej muchy.

W wydawniczej informacji o autorce są błędy: jej pierwsza książka nie była nominowana do Lubuskiego Wawrzynu Literackiego za 2017 r., a tylko zgłoszona do konkursu, książkę „Nie idź tam, Cyganczko” autorka napisała po polsku, a nie po romsku; na język romski została przetłumaczona, ponadto: nazwy mieszkańców miast pisze się małymi literami, a więc nie Gorzowianka, a gorzowianka. W tekście zaś sporo takich uchybień, które łatwo wychwyci doświadczony redaktor.

Zarówno mylący obrazek z okładki, nieadekwatny tytuł, brak sprawdzenia informacji o autorze i usterki językowe obciążają wydawcę, który przyjął usprawiedliwiającą nazwę: „Debiutant”.

*

Dla mnie „Matylda II” jest książką o niczym. Nie ma żadnego tematu i nic po jej lekturze nie pozostaje w pamięci czytelnika. Odnoszę wrażenie, że autorka zebrała niewykorzystane pomysły na obecność swojej bohaterki w życiu miasta, połączyła je kilkoma wypiekami ciasta i uznała, że to może być nowa powieść. Halina Elżbieta Daszkiewicz ma ogromną łatwość pisania, na strony książki przenosi język potoczny, pełen wyrażen do zaakceptowania w mowie, ale zapisany razi prymitywizmem. Jej wszyscy bohaterowie mówią tym samym pospiesznym językiem.

O ile debiut Haliny Elżbiety Daszkiewicz był całkiem udany, to druga książka nie dorasta do wyznaczonego wcześniej poziomu. Tak bywa z drugim filmem, z drugą symfonią, z drugą powieścią. Zjawisko to jest znane w kulturze jako syndrom drugiego dzieła. Za długo twórca nosił pomysł i jeśli nie wykorzystał go w pierwszym dziele, wsadza do drugiego. I robi błąd.

Życzę autorce poważniejszego przemyślenia literackiej kreacji rzeczywistości i konstrukcji bohaterów w następnych książkach.

Halina Elżbieta Daszkiewicz, „Matylda II. Jak zabić muchę?”, wydaw. Debiutant, Malbork 2020, 174 s.



WIERSZE CZASU ZARAZY

JANINA JURGOWIAK

DĄB

Dotykam delikatnie
chropawej kory,
pod nią szumi życie.
Otwórz się, proszę.
Wejść w ciebie razem z moim strachem
nakarmionym widmem zarazy,
a ty zamkniesz pień.
Będę tobą
i nikt nie będzie wiedział,
gdzie się podziała
ta pocieszna wariatka.
Uczynisz mnie twardą, niezłomną.
Ukryta będę słuchać pieśni wiatru
i opowieści księżycy.

KWARANTANNA

Pustki czterech ścian
nie wypełnią butelki
wypite do lustra,
nie zaludnią papierowi bohaterowie,
filmy akcji, dialogi, polemiki
i utarczki na forach.
Idziesz spać bez wiary
i budzisz się bez nadziei,
że znajdziesz sposób
na udrękę kwarantanny.

NIE WOLNO

Nie wolno się spotykać
dotykać
przytulać całować obejmować
jak siebie samego
Trzeba siedzieć w domu
i nikomu nie otwierać
bo wirus czyha
To nie czas ani miejsce
na miłość bliźniego

ŚCIEŻKA

Biegnę oczami po ścieżce,
której nie ma
i nie wiadomo nawet
czy kiedykolwiek była.
Nie poznaję
i ona mnie nie poznaje.
Czy pamięć poszła na emeryturę?
Przecież nie możemy być sobie
zupełnie obce!
– To ja – przypominam,
a ona zarośnięta niepamięcią
odwraca się w lewo.
Nie tam! Tutaj w prawo!
Nie wiesz? Nie pamiętasz?

Przecież tędy biegła babcia Michalina
po włoszczyznę do rosolu.
Do dziś widzę pod powiekami
jej prawie dziewczęcą sylwetkę.

Chodziłam potem wieloma ścieżkami,
Lecz na żadnej nie spotkałam
Babci Michaliny.

TYLKO UŁOŻĘ PUZZLE

Kiedy zadzwonisz i nie otworzę,
zadzwoń jeszcze raz,
bo może będę w kąpielu
albo...
Ty nie rezygnuj, dzwoń.
Może zmienię zdanie?
Mówiłeś, że szybko się pozbierałam
po jego śmierci.
Gówno prawda.
Przed każdym wyjściem
zbieram rozsypane puzzle,
układanka zawsze się udaje,
obrazek jest pogodny.

PRAWDZIWY MĘŻCZYZNA

to ginący gatunek
koniecznie chronić go trzeba
prawdziwy mężczyzna to siła i spokój
kobieta przy nim bezpieczna
to ład wewnętrzny
równowaga
on wie i wierzy
trwa
siostrą mu gwiazda
a dąb to brat
w piecu napali
powie że kocha
czułości się nie wstydzi
dziecko utuli
kubek poda i
słów nie rzuca na wiatr

ONA I ON

Ona
ucieleśnione piękno
smutek okryty płaszczem
zadowolenia i pewności siebie
cierpi bo wie
pieniądze szczęścia nie dają

On
iluzja i urzeczenie w pętach
ślepej namiętności

Między nimi nadzieja
chociaż w agonii
wciąż mam i obiecuje
wspólnotę interesów

tęcza jest kolorowa

Słowa łączą się ze sobą i kumulują gdzieś pod piersiami,
parzą usta tak, że dłonią można dotykać przerwana skórę,
a oczy widzą tylko zerwane tęczowe flagi w centrum miasta
i to kiedy znikacie obie, objęte, wtulone w siebie,
zatonione we mgle.

stan skupienia

siadamy na ziemi z wyostrzonymi zmysłami
szerzej otwieramy oczy rozchylamy usta i ramiona
rozszerzone pory chłoną naturę
skóra dotyka spokojnej ziemi
kiedy gładzisz mnie po włosach
ciepłą dłonią zwiedzasz las
pefen nierównych skrętów
prowadzisz cichą kontemplację
czuję jak uśmiech promieniuje na twarz

składniki

Zimą zamieniamy knajpiane ogródki
na ciasne sale studyjnych kin.

Składamy się z tych starych utworów
wypełzających po omacku z ciszy.

Noce są wypełnione przez kolejne zdania
przeczytanych książek
i rodzące się po północy duszne sny.

Kolejne dni otwierają się przed nami
porannym nienasyceciem.

Praga

Osiem godzin w drodze
i poczucie, że Polska
nigdy się nie skończy.
Chociaż zdaje się, że
granice między nami
były przekraczane powoli,
gdzieś w głowie, już dawno.
Połamane języki w obcym,
odkrywanym mieście, które
możemy uczynić miłością.

Rzeźby na moście i my.
Nasze ciała splecione
i wyrzeźbione w uścisku.

podróże

Jest stary plecak, starte buty
i tyle ścieżek niewydeptanych.
Dalekie wędrówki rozpoczynane o świcie
w poszukiwaniu tego co jeszcze nieodkryte.

Kiedy słońce chowa się przed ciałami
owoce jemy w pośpiechu i wiecznym nienasyceciu.
Rozpalamy ogniska, te zewnętrzne, poza nami.
Pozostaje tylko sok lepący palce,
łśniący w świetle dogasających ognisk.

niebo różowieje

codziennie mijam te same bloki
firanki w oknach
czekam poruszenia

bez adresatów słów
gubię rozmowy
udaję mentalność miasta

Marzec

przyszła wiosna
dogoniła mnie pospiesznie
dopadła za rogiem gdzie jeszcze
cień grubszego szalika
ktoś łypie zaspanymi
oczy ma takie
jak moje z krzywą kreską
na powiece i niedługo ustawią się
ludzie tłumnie na majowe wiece
wie czego nie chce ale zapuszcza
włosy i wici że ona nadeszła i już mości się
Mości Pani na krześle pali jagodowe papierosy
na czczo bo owoce mają smak
ciepłego lata tymczasem zima szczyrzy uśmiech
pół gęby wierzchem gdy tamta dynda nogami wykopuje zaprzęsłe.

Lato

Latem jaśniały włosy i nosiłam dziury
wypalone w zielonej sukience.
Wyszeptywałam dla ciebie dotyki,
kawałek po kawałeczku.
Mijaliśmy stare fabryki i szliśmy Ostrowem Tumskim
wzdłuż zardzewiałych torów gdzieś w głąb, za Katedrą, na skraj.
Torowaliśmy sobie drogę wewnątrz.
Medalik kołysał mi się na szyi.
Kołysaliśmy się w swoją stronę, ustami muskałam rzęsy.

* * *

Po całym dniu spędzonym
na wykonywaniu rutynowych czynności,
za pieniądze, które dzisiaj wydamy na chleb i kino,
a za jakiś czas na śpioszki i smoczki,
siadasz zmęczony na brzegu łóżka
i odpowiadasz na spojrzenie
omdlewającym wzrokiem.
Układam się wtedy w łuk,
wpasowując w kształt pleców,
przylegam nieruchomo.
Tylko sutki kielkują pod bluzką
zaburzając symetrię.
Zapalamy nocną lampkę kiedy
manekiny w witrynie sex shopu
mają zmieniane kostiumy
żeby robotnicy mogli nad ranem
podziwiać je łączywie w drodze do pracy.
Kiedy próbujemy miłości zapalają się
plastikowe twarze za sklepową szybą.
Zobacz, płoną, ze wstydu.

„PERSYFLAŻ SŁOWIARZA”

Swoimi wierszowanymi żartami od ponad trzydziestu lat pobudza życie uczestników warsztatów malarskich i literackich rozsiadanych gęsto nie tylko na Ziemi Lubuskiej. Jego tubalny, zaraźliwy śmiech znają goście wernisaży wystaw, widzowie premier (zwłaszcza komedii) w teatrzykach i teatrach czy spotkań autorskich w klubach i bibliotekach. Zebrał je wreszcie w debiutancką książkę pt. „Persyflaż słowiarza”, którą szczególnie polecam jako jej wydawca w serii Biblioteki Pegaza Lubuskiego.

Perełki inteligentnego polskiego humoru, które coraz trudniej znaleźć w produkcjach współczesnych poetów; już nie będą rzucane (jak prorokował Kornel Makuszyński) tylko przed wypasione na plenerach świnki. Każdy teraz będzie mógł zabrać je ze sobą do domu, jeśli pojawi się na promocji książki. Byłe tylko pozwolił mu na to koronawirus. Na razie pozwala: Lech siedzi na plenerze i ma pełne ręce roboty. Już zdążył napisać trzy wiersze, które poniżej.

Ireneusz K. Szmidt

katalog inspiracji

siupa
po krakowsku
heca afera
niebiańską nalewkę
spożyliśmy z wieczora
a dziś etyka dotyka od rana

jedziemy do Zielonej Góry
na dobry początek w aucie
Eine Kleine Nacht Musik
apogeum osiągamy
w centrum ogrodniczym
bowiem krakus Jurek
/który peroruje ja notuję/
zanabył
czyli zakupił fikusa
lub coś w tym rodzaju
artefakt fikusopodobny
będzie malował
martwą naturę
a'la Nacht-Samborski
Co za poranek! Prawdziwe
Śniadanie Mistrzów!

Na plenerze

Demonstruję pracowitość
założyłem malarską koszulkę
blejtram zieje bielą
kasetą z farbami
wysyła zaczepnego banana
odpowiadam bumerangiem

czekam na natchnienie
ono czeka na mnie
chce mnie zastać przy pracy
talent bezradnie rozłożył ręce
brak suspensów
jak w polskim filmie
nuda proszę pana
nuda
z wirusem w tle
tupot Ziemi
Ojczyzny Ludzi

ulubiony Przytok

od lat przyjeżdżam tu
na plener malarski
po ciszę
dziś chór kosiarek
nieustanny bzykot
mega bąków

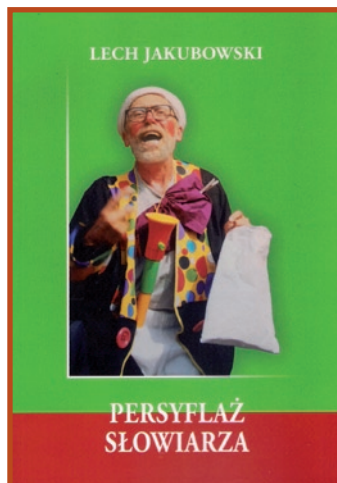
czy ci faceci
nie mają żon dzieci
nie idą do domu na obiad
zawzięcie strzygą
tę młodą zieleń
cały dzień w nosie mają protest
stokrotek
jeden skończy
dwóch innych zaczyna
niech sąsiad popatrzy
równiutko jak we wojsku
mój trawnik świadczy
o mnie
ponoć psychologia trawy powiada
pokaż mi swój trawnik
a powiem ci kim jesteś

czy tutaj nikt już nie lubi psów
żeby tak choć raz
jeden przyjaźnie zaszczekał

SPÓŁKA z o.o.

Wpadła mucha
do Malucha.

Uradzili razem:
Będziemy PEGAZEM!



LECH JAKUBOWSKI

Rocznik 1952, w Gorzowie od 1957 r. Pracował jako elektryk, elektronik, dziennikarz, trener, sędzia szachowy, nauczyciel plastyki, wodzirej – prowadził festyny, bale dla dzieci, młodzieży, dorosłych oraz plenery artystyczne, rodzinne warsztaty land art, sprzedawca pomidorów i kapusty.

Mistrz naszego województwa w szachach klasycznych z 1971 r., w szachowej grze błyskawicznej w 1977 r. i w 1991 r., mistrz Gorzowa w 1991 r.

Uczestnik ogólnopolskich plenerów malarskich i różnych form warsztatowych – teatr, kabaret, książka artystyczna, land art.

Pisuje fraszki, wiersze, monologi, scenariusze. W latach 90. dla gorzowskiej TV Vigor zrealizował cykl autorskich audycji pt. „Szachowisko”. W 2002 r. zorganizował spotkanie z amerykańskim astronautą Scottem Parzyńskim w związku z finałem konkursu plastycznego „Mój dom w kosmosie”. W 2007 r. na 750-lecie Gorzowa był autorem happeningów: „Murowane niebo dla poetów” – akcja pod murem obronnym, który przedłużono konstrukcją z kartonów, i „750 jaj na 750-lecie” w ogródku kawiarni Letniej.

Ponadto był inicjatorem Ogólnopolskiego Konkursu Literackiego i Rysunkowego pt. „Śmiech na szachowisku” oraz wojewódzkiego konkursu fotograficznego i plastycznego.

PS.

Dawno, dawno temu...

Było to w Katowicach w 1993 r. Lechu wziął z rąk organizatorów ogólnopolskiego konkursu na fraszkę o małym polskim fiacie – pism „Gazeta Wyborcza”, „Auto Poland” i „Auto-taak” – Grand Prix, czyli kluczyki z breloczkiem do nowiutkiego fiata 126p. A ta zwycięska fraszka?

Patrz obok.

I co? Jest się czemu dziwić?

Jeszcze w tym roku ukaze się interesujący debiut poety gorzowskiego Karola Wojdyły. Podobieństwo do nazwisk z papieżem i poetą zielonogórsko-szczecińskim zupełnie przypadkowe.

W niemal każdej biografii poety czy innego artysty słowa natrafiamy na wzmiankę o jego literackim debiucie. Pierwsze utwory publikuje się zazwyczaj w lokalnym czasopiśmie, niekiedy czyjś talent zostaje odkryty podczas konkursu, w odosobnionych przypadkach młodzi twórcy zaczynają od wydania tomiku. Jeśli chodzi o mnie, wrodzona skromność i niezależność (używam tego słowa, mając na myśli, że mi nie zależało) długo i skutecznie powstrzymały mnie przed pokazaniem światu swoich utworów. Słowo daję, w przyplwywie zuchwałości zdarzyło mi się nawet podrzeć wizytówkę wydawcy.

Niewiele brakowało, a ten tomik również pozostałby w rękopisie, wraz z resztą porzuconych i bez końca odwlekanych zamiarów. Przeczuwając jednak, że może to być jedyne poważniejsze (z trudem napisałem to słowo) dzieło (to z jeszcze większym!), jakie po sobie pozostawię, zdecydowałem się zebrać swoje wiersze do kupy, odsiać najgłupsze z nich i całość oddać do druku. Końcowy efekt tej pracy trzymają Państwo właśnie w rękach.

Gdy budowałem ten tomik, przyświecał mi również cel, by zamknąć pewien rozdział swojej twórczości, do którego po latach mógłbym się odnosić z sympatią i łaskawym pobłażaniem.

Do tej pory moje wiersze ukazały się wyłącznie na łamach „Ćwierćinteligenta” – literackiego zinu, który jako autorzy wydaliśmy własnym sumptem z moim przyjacielem Kacprem. Pierwszy i zarazem ostatni numer tego osobliwego tworu (nie bez kozery nazwanego „niepowtarzalnikiem”) ukazał się jeszcze na studiach i w skromnym nakładzie rozszedł wśród rodziny i przyjaciół. Niniejszy tomik jest zatem moim właściwym literackim debiutem.

Pragnę z góry ostrzec wszystkich miłośników „poważnej poezji”: nie macie tu czego szukać! Na stronach tej książeczki znajdują się jedynie igraszki wierszopisarskie, niegroźne zabawy rymotwórcze. Niektóre z nich powstały, gdy miałem zaledwie kilkanaście lat, a – jak wiadomo – nietrudno w tym gorączkowym wieku o pisanie bzdur, naśladowanie stylów czy grafomańskie ekscesy. Nie zabraknie tu również utworów wulgarnych, obscenicznych czy gniewnych – a więc o treści wynikającej z przymiotów młodości, których bez skargi się pozbywam.

Czytelnik już po wstępnej lekturze zwróci zapewne uwagę na różnorodność form gatunkowych i stylistycznych, która sprawia, że niniejszy tomik przypomina raczej dzieła wybrane niż debiut. Obecny tu mieszmasz wynika po części z lenistwa autora: słomiany zapał nie pozwolił mi bowiem na napisanie większego zbioru utworów utrzymanych w podobnej konwencji. Po części jest to także efekt wszechstronnego zainteresowania sztuką wersyfikacji, a więc niepohamowaną żądzą sprawdzenia się w każdej formie lirycznej.

Niech czytelnika nie zwiedzie egzotyczno-wisielczy wydźwięk tytułu. Utwory mają ściśle swojski charakter, a utrzymane są – w znacznej większości – w tonie żartobliwym (to, czy są przy okazji zabawne, każdy musi już ocenić sam). Życzę, by jego lektura dostarczyła Państwu radości i wzruszeń, choćby miał to być tylko krótki uśmiech lub pojedyncza łza.

Karol Wojdyła



TAKIE KWIATKI

Najdroższa, nie znam się na kwiatach,
lecz jakież budzą we mnie zachwyt
ich piękne barwy, kształt i zapach.
Spójrz, jak ten tutaj bujnie zakwitł!

To chyba narcynt tak się mieni,
a ten błękitny to... chabratek!
Czy to różonkil, tam w czerwieni?
Jakoś tak. Nie wiem. Piękny kwiatek!

A tu u stóp, to chryzamotocka,
czy może znowu coś przekręcłam?
Tak zmysły miesza woń jej słodka.
Cudowna! Jak ta pelartensja.

Namiętnie wabią mnie tulilie.
Te mają płatki jak promyki.

Zaczekaj, poznam w kilka chwil je.
Tak, jestem pewny. To fiołczyki!

Nie zgadłem? Ach, przekłete nazwy...
Czy wiatr w pamięci mej je zatarł?
Cóż, ważne, że wzbudzają zachwyt,
nie muszą jednak znać na kwiatach!

* * *

Powoli i w niezmiernym trudzie
wdrapuję się sam na piedestał
i tylko słyszę wciąż, jak ludzie
wołają za mną: – Pan tu nie stał!

KALORYFER

Kaloryfer tak strasznie grzeje,
rozżarzony aż parą bucha,
zionie ogniem, w lawę topnieje,
jak kociół czerwony, jak jucha.
Wrze piekielnie, jątrzy się szaleń,
trawi wszystko, zwęgla i grzebie!
A ja obok niego siedziałem
i zimno mi było bez Ciebie...

CERBER

Nie umiesz stanąć przy wyborze
i w głębi czujesz się rozdarty?
Myślisz, że gorzej być nie może?
Wybacz – rzec muszę – wolne żarty!
Lepiej byś spojrział na Cerbera,
ten w zgodzie z sobą chętnie żyłby,
ale to trudne jak cholera,
a co dopiero, gdy masz trzy łby!

JASKÓŁKA

A gdy przyleci jaskółka,
tak rozśpiewana, radosna,
i pośród drzew kreśląc kółka,
oznajmi, że przyszła wiosna.
Złapię za łeb to ptaszysko,
wyskubię ogon i skrzydła
i krzyknę: – Gdzieś była, dziwko,
zima już dawno mi zbrzydła!

POTĘPIENIE BESTIALSTWA

Czyż można postąpić podlej
i powtarzać: – Wszystko jedno,
kiedy kwiatek woła: – Podlej!
gdy mu wszystkie listki więdną?

Co gorszego niż rzecz: – To nic!
kiedy kwiatku wody trzeba,
obojętnie przejść wśród donic,
w których na wiór wyschła gleba.

Jakże można być sadystą,
który gardzi życiem kwiatka,
i popijać wodę czystą,
gdy ten sflaczał do ostatka?

Zapamiętaj więc, dziewczyno,
widząc kwiatek, który oklapł,
wykaż się litości krztyną: Zwilż
go nieco, nasącz, ochlap!

UTWÓR JUWENALIOWY

Jesteś młody, masz siły, zdrowie,
zdolności, śmiałych marzeń
wachlarz
i wiele twórczych myśli w głowie,
a znów się po łajdacku
nachlasz...

**WIERSZ O PORAŻAJĄCYM
ZRYWIE TWÓRCZYM
NAPISANY POD WPŁYWEM
PORAŻAJĄCEGO ZRYWU
TWÓRCZEGO**

Wzniesiony gwałtownym
natchnieniem
odbywam podróże podniebne
i krzyczę, wpatrując się w ziemię:
Trzymajcie mnie lepiej, bo jebnę!

ODDZIAŁYWANIA

[wiersz współczesny]

Przenikliwy mróz
wprawia moje ciało w drzenie,
zgodnie z prawami fizyki
stałem się właśnie potencjalnym
źródłem dźwięku,
niech więc zabrzmie adekwatnie:
– kurwa, jak zimno!

TRZY STROFKI O GŁUPOCIE

Próżno orać, siać, podlewać,
nie wykwitnie myśl z Twej głowy.
Proszę, więcej mi już nie wadź,
nieużytku umysłowy...

* * *

Jak powiedział pewien mędrzec,
nim mu język w gardle uwiązał:
– Bzdury może każda z mend rzec
i, co gorsza, wszystkie mówią.

* * *

Zapamiętaj, gdy znów wokół
ujrzesz rozwrzeszczaną swołocz,
zamiast stać beczynnym z boku,
łap pochodnię i się dołącz!

* * *

Zraziłeś mnie swą osobą
i dużo wody upłynie,
nim wzgardzę kimś tak, jak tobą,
żałosny skurwysynie.

FRASZKA O TRAMWAJU

Słyszę w oddali głuchy klekot
przerdzewiałego na wskroś wozu,
gdzie zawsze zimno w trakcie mrozu,
ale gorąco podczas spiekot!

WIECZORAMI...

Wieczorami zaszywam się w kącie z lekturą,
wśród słów znajdując skromne zacisze,
lub sam – wzruszony – chwytam za pióro
i nieporadnie, koślawo coś piszę.

A od papierów, na których kwitną
wersy i rymy,
trudno mi oderwać oczy nieprzytomne
i tak się czasem zadumam nad nimi,
że i o sobie, i o świecie zapomnę.
Jeśli więc nie wiesz, gdzie jestem,
śledczych nie wzywaj jeszcze,
lecz podążaj za kartek szelestem,
to pewnie ja tak szeleszczę...

PRETENSJA

Bełkoczesz znów z trudem,
że „morda nie szklanka”,
a wlewasz w nią wodę
każdego poranka...

SKARGA POETY

Czego przysporzył mi zapał twórczy,
prócz pustych wzruszeń, orgii pijackich?
Zarwanych nocy, pisarskich skurczy
(choć to najpewniej od masturbacji).

**Karol „Trapi”
Wojdyło**

Rdzenny gorzowianin, z zawodu logopeda i nauczyciel języka polskiego. Ukończył studia na Uniwersytecie Gdańskim na kierunkach logopedia oraz neurologopedia. Obok opowiadań s-f, pisuje wiersze. Są to w głównej mierze igraszki rymotwórcze czy groteski liryczne. Do tej pory utwory ukazały się wyłącznie na łamach „Cwierćinteligenta” – literackiego zinu, który, jako współautor, wydał własnym sumptem w czasie studiów. Jest wielkim miłośnikiem cudactw i ciekawostek językowych – szperacz antykwaryczny. Udziela się także jako autor i korektor „LandsbergOnu” – gorzowskiego magazynu fantastycznego, na łamach którego publikował swoje utwory prozą: *Pociąg grozy* (LandsbergOn 2018, nr 2), *Żaloba* (LandsbergOn 2019, nr 3); *Kontrmachina* (LandsbergOn 2020, nr 5). Pracuje jako logopeda w Szkole Podstawowej w Witnicy.

GOTTFRIED BENN Z ZIELINA I (TROCHE) Z GORZOWA

W siódmym numerze „Nadodrzańskich Spotkań z Historią” zwrócił moją uwagę artykuł prof. Andrzeja Lama pt. „Gottfried Benn – poeta z nadodrzańskiej okolicy własnymi słowami opisany (z widokiem dawnego Zielina)”. Gottfried Benn (1886-1956) to jeden z najwyższej cenionych poetów niemieckich I połowy XX wieku. Miał pół roku, gdy jego rodzice przeprowadzili się do Zielina, wsi położonej w gminie Mieszkowice, blisko Kostrzyna nad Odrą. Ojciec był pastorem. Przyszły poeta wzrastał w sielankowej przyrodzie Brandenburgii, ale także w biedzie i w ryzach narzuconych przez ojca. Dzieciństwo odcisnęło się znacząco na jego twórczości, obrazy Zielina powracały później w wierszach i we wspomnieniach pisanych prozą.

*

Gottfried Benn chciał być lekarzem, a że rodzice nie mieli pieniędzy na jego kształcenie, został lekarzem wojskowym, bo na tym kierunku można było się kształcić za darmo. Ale ta specjalizacja miała decydujący wpływ na jego dalsze losy. Bezpośrednio po studiach poszedł na wojnę, a doświadczenia z niej wyniósł tragiczne. Właśnie brud, zniszczenie i tragizm wojny stały się tematami jego utworów literackich utrzymanych w ekspresjonistycznej konwencji. Zyskał wielu zwolenników, ale i przeciwników.

Dojście Hitlera do władzy miało dla Benna istotne znaczenie. Początkowo zaakceptował ideologię nazistowską, ale bardzo szybko się od takich przekonań odciął. Następnym był zakaz publikacji. Gdy wybuchła wojna, miał już ponad 50 lat, więc jako lekarz podjął pracę w wojsku w Berlinie. Ale w połowie 1943 r. miejsce jego pracy zbombardowano i wtedy Gottfried Benn został przeniesiony do Gorzowa. Do końca stycznia 1945 r. pracował w budynku, w którym dziś jest hala sportowa Akademii im. Jakuba z Paradyża przy ul. Chopina, i mieszkał w sąsiednim budynku dla dowódców. Przez cały czas dużo pisał, zarówno wiersze, jak i bardzo ważny w jego twórczości esej „Powieść genotypu”, a także opowiadania. Wszystkie bronią człowieka przed niszczycielskim działaniem wojny. Oczywiście nie miał szans na ich opublikowanie w latach wojny. Na szczęście niedługo przed wkroczeniem Armii Czerwonej rękopisy wysłał do przyjaciela mieszkającego w głębi Niemiec i dlatego się zachowały. Jemu samemu udało się w ostatniej chwili także uciec do Berlina.



Andrzej Lam rozpoczął swoje wystąpienie w Mieszkowicach od wykazania, jakie trudności miał Gottfried Benn z wydaniem swoich utworów po zakończeniu wojny. Dla sprawujących powojenną władzę był hitlerowskim oficerem, a więc obejmował go zakaz druku. W powieści Hansa Fallady „Zmora” postać doktora Pernisa wzorowana jest na Bennie. Tam jest pokazany jako literat po raz kolejny skrzywdzony przez władze, osaczony, nieumiejący walczyć o swoje racje, choć szuflady biurka miał pełne rękopisów. Andrzej Lam pokazał, jak Bennowi odmawiano prawa druku w strefie amerykańskiej, angielskiej, francuskiej. Pierwszy tom jego wierszy z tytułem „Wiersze statyczne” ukazał się w 1948 r. w Szwajcarii. Dopiero po zmianach administracyjnych w Niemczech mogły się ukazywać jego utwory. I zyskały pełne uznanie.

*

W Gorzowie postać Gottfrieda Benna nie jest znana, choć właśnie tu napisał swoje najbardziej znaczące utwory. Spotkałam się ze zdaniem, że propagowanie Benna byłoby tożsame z propagowaniem hitlerowskiego oficera. Czyli z takim samym myśleniem jak Amerykanie, Anglicy i Francuzi po zwycięstwie nad Niemcami. To, że jego utwory są pacyfistyczne, nikogo nie obchodziło.

Andrzej Lam nie zajmował się gorzowskim (landsberskim) okresem życia Gottfrieda Benna, a tylko wspominał, że pracował w budynkach dzisiejszej Akademii. W przypisie dodał: „Może warto upamiętnić to miejsce, jak upamiętniony został w Krakowie rówieśniczy poeta, żołnierz I wojny światowej Georg Trakl, który leczył się i zmarł w tamtejszym szpitalu?”.

*

Profesor Andrzej Lam, ceniony literaturoznawca, w 2019 r. wydał zbiór 222 wierszy Gottfrieda Benna pt. „Powiedz mi to”. Nie ma tej książki w naszej bibliotece i jak na razie nie jest dostępna w sprzedaży. Szkoda.

Profesor miał przyjechać do Gorzowa z wykładem o twórczości Gottfrieda Benna. Czy i kiedy będzie to możliwe?

VII Nadodrzańskie Spotkania z Historią, 2019, materiały pod red. Andrzeja Chludzińskiego, wydaw. Jasne, Pruszcz Gdański 2019, 250 s.

HORROR W BIBLIOTECE

11 krwawych opowieści nadesłano na pierwszy konkurs literacki „Horror w bibliotece”, zorganizowany przez Bibliotekę Pedagogiczną Wojewódzkiego Ośrodka Metodycznego w Gorzowie z okazji Tygodnia Bibliotek 2020. Zadaniem uczestników konkursu było dokończenie opowieści rozpoczętej w tekście jednej z organizatorek – Hanny Ciepeli o Martynie, młodej bibliotekarce. Dwuosobowe jury w składzie: Magdalena Janas i Hanna Ciepiela przeżyło prawdziwe godziny grozy, czytając opowiadania rozgrywające się w podziemnym magazynie książek. Wszystkie konkursowe teksty napisały dziewczyny (w różnym wieku), co świadczy o szczególnym talencie pań do tworzenia emocjonujących historii. W sześciu opowiadaniach bohaterce udało się wyjść cało z magazynu, w pięciu mordowano ją na różne sposoby.

Wszystkie opowieści tak zaimponowały jurorkom, że przyznały pięć równorzędnych nagród i sześć wyróżnień (niezależnie od tego czy bohaterka przeżyła).

Nagrody otrzymały: Olga Smolec-Kmoch, Julia Kosmalska, Natalia Kosmalska, Emilia Kruszakin i Patrycja Sęp.

Hanna Ciepiela

Prolog do konkursu „Horror w bibliotece”

Było majowe popołudnie. Słońce próbowało przecisnąć się przez opasłe, ciemne chmury. W powietrzu czuło się nadchodzącą wiosenną burzę.

Martyna, młoda bibliotekarka, wstała od biurka i gumką związała długie rude włosy. Do kieszeni schowała kartkę z numerem zamówionej książki, z szuflady wyjęła pęk kluczy. Wyszła na korytarz. Obcasy jej butów rytmiczne stuknęły na schodach, jakby odmierzały jakiś dziwny czas.

Biblioteka, w której pracowała Martyna, mieściła się w zabytkowej, poniemieckiej kamienicy. Budynek miał trzy wysokie piętra i rozległe podziemia, wykorzystywane do przechowywania książek.

Dziewczyna wąskim kluczem otworzyła drzwi magazynu. Poczula zimne powietrze na piegowatych policzkach. Zawsze trochę się bała, wchodząc do ciemnego magazynu. Szybko podeszła do ściany i nacisnęła włącznik światła. Odetchnęła z ulgą i pokręciła głową. – Za dużo czytasz horrorów – upomniała się w myślach.

Magazyn książek mieścił się na dwóch podziemnych kondygnacjach. Najnowsze podręczniki, lektury i albumy były ustawiane na przesuwanych korbą, wysokich regałach. Do starej, niżej położonej części magazynu schodziło się długimi, krętymi schodami. Trzeba było ostrożnie stawiać kroki, szczególnie gdy się miało wysokie szpilki.

– Mogłam założyć tenisówki – pomyślała Martyna.

Stary magazyn był jak labirynt, pełen korytarzy i zakamarków. Po omacku wyszukała kontakt. Żarówka zapaliła się z sykiem, potem zaczęła migotać i zgasła. Martyna w ciemności przemierzała korytarz, kierując się do kolejnego włącznika. Palcami dotykała półek z książkami.

Nagle usłyszała jakieś szmery. – Mysz? Nie, przecież nigdy nie było tu myszy. Odwróciła się gwałtownie, ale niczego nie wypatrzyła w gęstym mroku. Serce głośno jej biło, gdy wyciągała rękę do ściany...

Olga Smolec-Kmoch

HORROR: CIĄG DALSZY...

Jej krucha dłoń wyczuła jedynie zimno i wilgoć. Wzdrygnęła się, ale odważnie przesunęła rękę w poszukiwaniu włącznika światła. Adrenalina sprawiła, że szybko go znalazła. Poruszyła palcami w górę, w dół, znowu w górę, ale tak oczekiwane przez nią światło nie rozbłysło.

Martyna nie należała do lękliwych kobiet, w końcu była bibliotekarką. Ruszyła więc śmiało przed siebie, wiedziała bowiem, że w kolejnym pomieszczeniu znajduje się kolejny włącznik i tam światło powinno już zadziałać.

– Do trzech razy sztuka! – próbowała ratować się humorem. – Teraz na pewno się uda – starała się przekonać samą siebie.

Złapała za ciężką, lodowatą klamkę kolejnych drzwi. Drzwi, które prowadziły do długiego korytarza. Z tego miejsca można było wejść do wielu pomieszczeń. Pracowała w tej bibliotece niemal dziesięć lat, a musiała przyznać, że nie ma pojęcia, co mieści się w tych piwnicach. Magazyny znajdowały się po prawej stronie od wejścia i tę część znała doskonale. Druga część stanowiła dla niej zagadkę. Pytała kiedyś panią dyrektorkę, co jest w tamtych pomieszczeniach, ale tamta machnęła tylko ręką i rzuciła: – Jakieś graty pana Zdzisia. Wiesz – dodała – ile ten człowiek gromadzi rzeczy. Dzięki temu przynajmniej – zaśmiała się – wszystko jest w stanie naprawić sam.

Martyna nie drażyła dłużej tematu z dyrektorką, ale pewnego razu przydybała pana Zdzisia i zarzuciła pytaniami. Biblioteczna „złota rączka” to niezwykle rozmowny mężczyzna, więc dokładnie opowiedział jej, gdzie znajduje się jego warsztat i ani słowem nie zająknął się o pomieszczeniach w dolnej części piwnicy. Dociekliwa bibliotekarka postanowiła jednak podpytać pana Zdzisia w późniejszym czasie i wpadła do jego warsztatu z paczkami. Przy odrobinie słodyczy każdy facet potrafi się rozgadać i wyjawić wiele tajemnic. Postanowiła zagrać *va banque*:

– Panie Zdzisiu, mówił pan kiedyś – zaczęła, szczebiocząc niczym podłotek – że zrobi mi wycieczkę po najniższym kręgu... naszej biblioteki.

Konserwator w tej chwili zrobił się czerwony na twarzy, wybałuszył oczy i zaczął wydawać z siebie chrapliwe dźwięki. Szybko zorientowała się, że pan Zdzisiu się krztusi. Kurs pierwszej pomocy zaliczyła na 98%, więc wiedziała, co robić.

– Uratowałeś mi życie – odparł, po udanej akcji ratowniczej pan Zdzis. – Dziękuję! – dodał i szybko wyszedł z warsztatu.

Martyna została tam sama i wiedziała, że to nie był przypadek. Wystraszyła się reakcji starszego pana, więc ostatecznie porzuciła pomysł dowiedzenia się, co kryją biblioteczne piwnice. Teraz jednak niepohamowana chęć odkrycia prawdy była silniejsza. Nacisnęła klamkę, wielkie drzwi otworzyły się...

Martyna przekroczyła próg. Na twarzy poczuła lodowaty powiew stęchlizny. Zapach nieobcy bibliotekarzowi, ale w tym było coś wyjątkowego. Był tak intensywny, że zakręciło się jej w głowie i osunęła się na podłogę. Ostatnie, co poczuła, to dojmujący chłód ceglanej posadzki.



Obudził ją dotyk ciepłej dłoni na zmarzniętym policzku. Powoli otworzyła oczy. Pomieszczenie rozświetlone było rześkim blaskiem jarzeniówek, których szum wwiercał się w jej uszy.

– Czego tu szukałaś? – usłyszała znajomy głos pani dyrektor.

– Ja... – zaczęła się jąkać. – Przyszłam po książkę... – Magazyn jest przecież przy samym zejściu do piwnicy – ostrym tonem dodała jej przełożona.

– Ale zgasło światło – Martyna próbowała się bronić. – Każdy kolejny włącznik nie działał, więc szukałam do skutku.

Spojrzała za siebie. W pomieszczeniach, w których zgasły żarówki, światła wciąż nie było. Dyrektorka musiała jej uwierzyć, że nie zmyśliła sobie tego.

– Wierzę ci, ale sama rozumiesz – głos dyrektorki już nieco złagodniał. – Tyle razy próbowałaś się dowiedzieć, co jest w tych piwnicach, więc pomyślałam, że poszłaś za głosem swojej ciekawości. Ale udowodniłaś ostatnio swoją rzetelną pracę, że przyszła pora, abyś poznała moją tajemnicę.

Martyna poczuła lęk. Dyrektorka przez te wszystkie lata była jej mentorką. To od niej nauczyła się miłości do książek oraz do czytelników.

– Jesteś już doświadczoną bibliotekarką – zaczęła. – Zapewne za rok, kiedy odejdę na emeryturę, zastąpisz mnie.

Młoda bibliotekarka ze zdziwienia otworzyła szeroko oczy. Kochała swoją pracę, ale nigdy nie widziała się w roli dyrektorki. Nie nadawała się do wydawania poleceń, zarządzania ludźmi... Jej światem były książki.

Dyrektorka jakby czytając jej w myślach:

– Pewnie wydaje ci się, że to nie dla ciebie – zaczęła. – Też tak kiedyś myślałam. Wiem, że moi bibliotekarze mają mnie za ostrą dyrektorkę, która już dawno zapomniała, że książki są najważniejsze – powiedziała z nieskrywanym żalem. Szybko jednak dodała: – Dla mnie ludzie i książki są ponad wszystko. Nie zapomniałam przez te lata o żadnej z tych wartości. Dlatego nadszedł czas, byś poznała moją tajemnicę.

Ruchem ręki wykonała gest zapraszający do tajemniczego korytarza. Martyna ruszyła więc przodem. Zatrzymała się przy pierwszych drzwiach. Dyrektorka wzięła jeden z pęku ogromnych kluczy i otworzyła drzwi.

Oczom Martyny ukazał się obraz niewyobrazalny. Pomieszczenie wypełnione było stosami książek. Od podłogi, po sam sufit. Szpalery książek były zabezpieczone przed rozwaleniem się. Pośrodku pokoju stał fotel, obok niego mała lampka, a pod nim włochaty dywanik.

Dyrektorka zamknęła ten pokój i podeszła do kolejnych drzwi. Otworzyła je. Martyna ujrzała niemal ten sam obrazek, który widziała w poprzednim pomieszczeniu. Korytarz był długi... Kiedy doszły do piątego z kolei pokoju, Martyna zebrała się w końcu na odwagę i zapytała:

– Ale o co chodzi? Co to za pokoje? Co to za książki? I po co tam fotel? – W głowie miała mętlik, a z każdą sekundą pojawiały się nowe pytania.

– To wszystkie książki, które kiedykolwiek musieliśmy poddać ubytkowaniu w naszej bibliotece – powiedziała dyrektorka. – Każda z nich jest dla mnie tak ważna, że nigdy nie mogłam żadnej oddać na makulaturę czy wyrzucić... Wieczorami siadam tu między nimi i czytam im. Dla mnie największym horrorem w bibliotece zawsze był moment, w którym książka traciła biblioteczne życie... Tu są wszystkie, i te poniszczzone, zalane kawą, z wyrwanymi stronami... Wszystkie!

Martyna rozumiała. Dla niej horror miał to samo oblicze.

Na konkurs zorganizowany przez Miejskie Centrum Kultury z okazji Światowego Dnia Poezji wpłynęło 21 wierszy.

Werdykt komisji konkursowej:

Gdybyśmy stawiali tylko na warsztat i profesjonalizm, wygrałyby inne wiersze, ale nie, postawiliśmy na poryw, na siłę czegoś świeżego, mniej w sensie artystycznym wyrachowanego, bardziej po ludzku bezradnego, ale ujmującego i przekonującego. Taki właśnie jest wiersz „bliżej podejdź” Justyny Charkiewicz – intryguje i niesie metaforę nieoczywistego bycia z ojcem. Chce się go czytać.

Przewodniczącym jury był Karol Maliszewski, pozostali jurorzy – Anna Nawrocka i Beata Patrycja Klary.

Drugą nagrodę otrzymała Patrycja Kopacka za wiersz „Landsberg an der Warthe” (drukujemy go na stronie tytułowej „Pegaza”), który zdobył najwięcej polubień na facebookowym profilu Klubu Kultury MCK Jedyńka.

Nagrodami w konkursie są bony podarunkowe do Księgarni Daniel.

Laureatom i pozostałym uczestnikom serdecznie gratulujemy i dziękujemy za udział!

Justyna Charkiewicz – 25-letnia organizatorka eventów, obecnie pracuje nad debiutancką książką. Mieszka w Białym-Białej.

Justyna Charkiewicz

BLIŻEJ PODEJDŹ

Twoje ciało
to teraz jedyne miejsce,
w którym możemy zamieszkać –
nie wychyłam spoza niego nawet krzywego palca
w stopie

choć przedzałeś, że nie możesz być
tylko moim domem.

I zaraz zsunę się od ramienia do łokcia
i w jego zgięciu poczekam
aż skończy się przepychanka w kolejce

i zaraz zsunę się od ramienia do łokcia
zanim mnie zrzucisz
w bezwarunkowym odruchu wzruszenia.

Kiedyś tata na każdym placu zabaw krzyczał
– śmigaj
dopóki zjeżdżalnia nie zwali się
na twój palec.

PEGAZ LUBUSKI 1(80)

Numer otwierają wiersz „Wszczęświat” Janiny Jaszki Jurgowiak (utwory poetki także na s. 33) oraz esej „Layla” stałego felietonisty Jerzego Alskiego (s. 1-3). „Wszczęświat czyli Kalafior” – Ireneusz K. Szmidt o poezji i kondycji człowieka w czasach zarazy (Od red. nac., s. 2).

Nadchodzące święta zwiastuje wiersz „na Wielkanoc 2020 roku” Janusza Dreczki (s. 3). Na kolejnej stronie fotorelacja i laureaci Lubuskich Wawrzynów Literackich 2019. Prof. Marian Kisiel jest autorem laudacji wygłoszonej podczas wręczenia Lubuskiego Wawrzynu Literackiego poecie Markowi Lobo Wojciechowskiemu („Pochwała «dnia kreta»”, s. 5-6), prof. Małgorzata Mikołajczyk – laudacji odnoszącej się do nagrodzonej powieści „Wendyjska winnica – Winne miasto” Zofii Mąkosy (s. 7), z kolei prof. Jerzy Madejski uzasadnia nominację dla powieści „Pelunia” Hanny Bilińskiej-Stecyszyn (s. 7).

W rubryce „Wiersze z Gorzowa i okolic” teksty Lecha Jakubowskiego, Sławomira Osieńskiego, Jerzego Hajdugi, Jolanty Karasińskiej, Ireny Zielińskiej, Adama Wierzbickiego i Marii Borcz (s. 8-10). Ponadto nowe wiersze Jerzego Gąsiorka z tomu „Zmierch” (s. 11), opatrzone recenzją Krystyny Kamińskiej („O wnuczce, pięknie i przyszłości”, s. 12).

Wśród omówionych nowości lubuskich znalazły się ponadto: tomiki poetyckie „Dotyk synderesis” Marii Borcz, „Listy na stół” Jerzego Hajdugi i Aliny Bernadetty Jagiełłowicz, album „Piękno w lesie” Włodzimierza Korsaka oraz powieść „Wskrzęsiny” Artura Boratczuka (s. 12-15). Fragment tej ostatniej, zatytułowany „Niebieski miód”, został zamieszczony na s. 16.

„Felieton o młodej poezji”, czyli próby poetyckie młodych okiem dojrzałego poety I.K. Szmidta na s. 17. I.K. Szmidt jest również autorem almanachu „Literaci w Gorzowie. Pod skrzydłami Pegaza”, który polecają K. Kamińska i Andrzej Pierzchała (s. 18-19). Fragment powieści „Anioł stróż czy czekolada” Lucyny Miosgi, uzupełniony recenzją A. Pierzchały, na s. 20.

„Klub Teatralny w historii i w powieści Zdzisława Morawskiego” to analityczny tekst K. Kamińskiej, zestawiający dwa wizerunki gorzowskiego Klubu Przyjaciół Teatru – ten rzeczywisty i powieściowy (s. 21-25). „Zapiski z pandemią” to kolejny fragment „Zapiski niecodziennego” Czesława Sobkowiaka (26). Ostatni tomik tego zielonogórskiego poety zrecenzowała Anna Dominiak („Po takiej drodze donikąd. O imperatywie życia i poszukiwaniu bliskości w najnowszym zbiorze wierszy Czesława Sobkowiaka „Powszednie niebo”, (s. 27). Na te same strony fragment wstępu do książki poetyckiej „Od kruche go do trwałego” Agnieszki Ginko autorstwa Joanny Wawryk. Pod tytułem „Spotkania w połowie drogi” – wiersze Aleksandry Ginko, Marka Stachowiaka, poniżej – Beaty Patrycji Klary (s. 28). W „Wiadomościach kulturalnych” Ewa Rutkowska odnotowała wydarzenia z minionego kwartału (s. 29-32). „Z Kroniki WiMBP” na ss. 32-33. W cyklu „Nasi satyrycy” – humoreska „Lalka” Janusza Włodarczyka, fraszki Jerzego Grodka, wiersz „Konstatacja” Ferdynanda Głodzika oraz humor ze szkolnych zeszytów (s. 34-36).

Do książki coraz bliżej

Po okresie całkowitego zamknięcia bibliotek można było korzystać ze zbiorów pod warunkiem wcześniejszego wskazania tytułów, które chce się wypożyczyć. Z czasem zmniejszono ogra-

niczenia, ale zawsze przed wejściem do w biblioteki trzeba przebrać ręce i nałożyć maskę. Książki oddane przez czytelników musiały przejść dwutygodniowy okres kwarantanny. W godzinach pracy obowiązywały dwie półgodzinne przerwy techniczne na wywietrzenie pomieszczeń i przeczyszczenie powierzchni, z którymi czytelnicy mają kontakt.

W lipcu i w sierpniu wypożyczalnia główna była czynna w godz. 10.00-17.00, oprócz soboty. Czytelnie ciągle nie zostały uruchomione. Dział Regionalny przygotowywał skany stron lub artykułów, którymi czytelnik był zainteresowany.

Wideoczaty z pisarzami

Wobec ograniczeń wynikających z pandemii odwołano wszystkie bezpośrednie spotkania z pisarzami, a na ich miejsce organizowano wideoczaty. Na przykład 30 marca odbył się wideocchat z pisarką Manułą Kalicką zorganizowany przez bibliotekę w Witnicy, <https://www.wimbp.gorzow.pl/spotkanie-z-manulakalicka/>. Natomiast Dyskusyjny Klub Książki zaprosił 21 lipca na wideocchat z Agnieszka Krawczyk.

„Piękno w lesie” Włodzimierza Korsaka

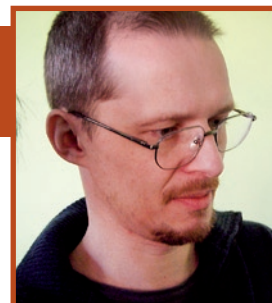
22 czerwca 2020 r. w Książnicy odbyła się promocja książki „Piękno w lesie” Włodzimierza Korsaka, wydanej nakładem WiMBP im. Z. Herberta oraz Klubu Kolekcjonera Kultury Łowieckiej PZŁ Oddział im. W. Korsaka w Gorzowie i Zarządu Okręgowego Polskiego Związku Łowieckiego, również w Gorzowie. Otwarcie – łowieckim zwyczajem – towarzyszył hejnał myśliwski wykonany przez utalentowanego i nagradzanego sygnałistę Karola Jurczyszyna. Wprowadzając w temat spotkania, dyr. WiMBP Sławomir Szenwald podkreślił znaczenie książki „Piękno w lesie” w dobie zdominowanej przez technikę współczesnego świata.

Książka „Piękno w lesie” ukazała się blisko pół wieku po śmierci pisarza na podstawie rękopisu znajdującego się w zbiorach WiMBP im. C. Norwida w Zielonej Górze dzięki staraniom leśnika kolekcjonera, wielkiego pasjonata pisarstwa W. Korsaka – Henryka Leśniaka. Pan Henryk opowiadał o swojej pracy nad książką, a jako leśniczy i znawca tematu „oprowadzał” słuchaczy po opisanym przez W. Korsaka lesie, ukazując jego niepowtarzalne piękno – tak odmienne w każdej z czterech pór roku (rozdziały: „Wiosna”, „Lato”, „Jesień” i „Zima”). W związku z obostrzeniami epidemicznymi i zmniejszoną ilością uczestników, bezpośrednią transmisję ze spotkania można było śledzić w holu biblioteki oraz online na stronie internetowej gorzowskiej Książnicy.

Finisaż zamiast wernisazu

6 marca miał się odbyć wernisaż wystawy Agaty Kaczuk-Jagielnik „Pejzaż górski”, ale ogłoszono zakaz zgromadzeń. Wystawa już wisiała, więc goście biblioteki mogli ją oglądać. Spotkanie z artystką zamiast na początku odbyło się na zakończenie prezentacji w dniu 25 czerwca, niestety, również przy ograniczonej liczbie uczestników. Ale artystka interesująco opowiadała o swoich inspiracjach i planach. Spotkanie uświetnił minirecital w wykonaniu syna pani Agaty – Aleksandra Kaczuk-Jagielnika, utalentowanego studenta Śpiewu Operowego Akademii Muzycznej we Wrocławiu.

Oprac. na podstawie Kroniki WiMBP
na stronie www.wimbp.gorzow.pl



GDYBY CIOCIA MIAŁA WĄSY

Głową rodziny był Mój Ojciec. Chociaż pewne, wcale nie-rzadkie, zdarzenia, oczywiste imponderabilia, słowa padające mimochodem wskazywały, że była nią Moja Matka. Tak więc głową rodziny nominalnie był Mój Ojciec. Za to sercem, oczywiście, wuj Genowef. Nie tylko sercem, był naszymi płucami, które zachłystywały się obfitością i pięknem świata, by rozprowadzać w naszych rodzinnych arteriach życiodajny tlen fantazji i optymizmu. Nie tylko płucami, był naszą wątrobą, biorącą na siebie ciężar rodzinnych uroczystości, godnie reprezentując nas wobec społeczeństwa i ludzkości. Nie tylko wątrobą, był też naszymi nogami, bo gdzie diabeł nie dawał rady, tam wuja posyłano, a on chętnie bieżył i sprawy w mig załatwiał.

Wuj był niewielkiego wzrostu, zwłaszcza bez kapelusza, który zdejmował tylko do spania, a i to nie jest pewne. Korpulentny, jowialny, wesoły, rubaszny, pykniczny, czerstwy, pogodny, przyjazny, otwarty, przebojowy, łagodny, miły, ustępliwy, cierpliwy. Nosił staroświecki surdut i kamizelę, w której kieszonce spoczywał złoty zegarek z kukułką. Nieco obwisłe, jak fafle basseta, spodnie noszące znamiona prasowania. Buty, których nie chciał zmienić na nowe, choć proponowano mu to każdego roku. Znakiem firmowym wuja Genowefa były jednak wąsy. Wąsy z rodzaju sumiastych, krzaczastych, bujnych, nastroszonych, ciemne, tu i ówdzie znaczone pręcikiem siwizny. Piękny wąs, na miarę wuja, godny naszej rodziny. Wąsy te były niczym godło, logo, łatwo rozpoznawalny znak. I tak dla wuja, jak i dla całej rodziny, jak herb rodowy.

Zdarzyło się jednak, że na skutek okropnej portugalskiej egzemy, spowodowanej nieświeżym fado, w którym wuj zasmakował podczas swej wirtualnej wycieczki po Lizbonie, musiał zgolić wąsy. Był to dla nas potworny szok. Liczna nasza rodzina była właśnie zasiadła do sobotniego obiadu i tylko wuj jeszcze jakoś długo nie wychodził z łazienki. Kiedy w końcu wyszedł i stanął przy suto zastawionym stole, zrazu nie poznaliśmy go. Tęga, niska kobieta, o nalanej twarzy, w niemodnej sukience, ze sznurem koralu na grubej szyi i męskich butach, która stała przy stole, poszukując wolnego krzesła i ignorując nasze spojrzenia, kogoś nam przypominała. Sądząc po rysach twarzy, mogłaby być siostrą wuja Genowefa, ale w istocie był to on sam. Bez ceregieli, jak gdyby nigdy nic, objął w posiadanie wolne krzesło i nałożył sobie sporą kopę ziemniaków, dwa kotlety i kilka korniszonów, wzgardził zaś surówką, której, jak mówił, nie trawił jego delikatny organizm. Po tym zestawie po-

znaliśmy go! Wuj Genowef nie był wujem, był ciocią, ciocią Genowefą! Tak kazał teraz do siebie mówić, a my byliśmy zbyt osłupieni, aby choć nieśmiało próbować wyjaśnić tę niezwykłą przemianę. Z wolna docierała do nas jednak przykra prawda, że wuj zawsze był ciocią, a tylko wujowski image i nasze gnuśne przyzwyczajenie sprawiały, że nie dostrzegaliśmy oczywistej teraz prawdy.

Pewnie szybko pogodzilibyśmy się z nową sytuacją, gdyby nie przykre jej następstwa. Nieobecność wuja nie tylko zburzyła równowagę, jaką w świecie szalejącej entropii cieszyła się nasza rodzina, ale wkrótce, w jakiś niewytłumaczalny sposób, wszelkie sprawy zaczęły iść źle. Budżet rodzinny, kiedyś zapewniający nam wygodne i bezpieczne życie, pomалу kurczył się, ujawniając małe, a potem coraz większe, dziurki i dziury, przez które prześwitywały szarobure nice. Łatwość radzenia sobie z prozą życia, jej biurokratycznym wymiarem, urzędami i jej otyłymi funkcjonariuszami, z domem, który coraz bardziej popadał w ruinę, niepostrzeżenie uległa anihilacji, a codzienne zmagania z rzeczywistością stały się naszą udręką. Budząca zazdrość krzepkość naszych ciał i umysłów zniknęły, przynosząc niedomagania, kontuzje i choroby. Wszystko zdawało się nastawać na nas, na nasz dobrobyt.

Sprawy, które dotąd nie zaprzętały naszej uwagi, uległy niepokojącej odmianie. Krowy przestały dawać mleko, mimo że żadnych nie mieliśmy, a szczekanie Terminatora – psa naszych sąsiadów, Baskerwiluff, umilkło, choć bardzo lubił szczeleć.

Wszystkie te nieprzyjemne zmiany i zdarzenia miały oczywisty związek z wujem, z jego przemianą w ciotkę, a w zasadzie z samowolnym powrotem wuja w ciotkę. Naturalnie, trudno byłoby logicznie to uzasadnić, ale każdy z nas, członków rodziny, wiedział nieomylnie, że tak jest. I wuj, czyli ciotka, też wiedziała. I wiedziała, że my wiemy. Z początku przyjęliśmy przemianę wuja w ciotkę ze spokojem, nawet z aprobatą, bo choć przyzwyczailiśmy się do wuja, uznaliśmy jego prawo do zmiany wizerunku i roli, do powrotu do swej pierwotnej formy. Kiedy jednak zaczęła się, zainicjowana wujowską metamorfozą, postępująca degrengolada naszej rodziny, pojawił się żal do ciotki. Najpierw niewielki, skrywany, nikt, zwłaszcza przed samym sobą, nie chciał przyznać się do małostkowości i egoizmu. Jednak żal narastał wraz z krocącym upadkiem naszym, z każdą przykrością nas dotykającą i coraz częstszym niedomaganiem naszych ciał, z destrukcją naszych umysłowych mocy i rozpadem rodzinnych więzi.

Żal przeszedł w niechęć, a ta pogłębiała się, by osiągnąć stan wrogości wobec sprawcy naszego coraz bardziej dramatycznego położenia. A ciotka była świadoma naszych uczuć wobec niej i chyłkiem przemykała po domu, tyle z obawy przed pełnymi wyrzutów spojrzzeniami domowników, co i w poczuciu winy, które wzbierało w niej z dnia na dzień, niczym bolesny, potężniejszy guz.

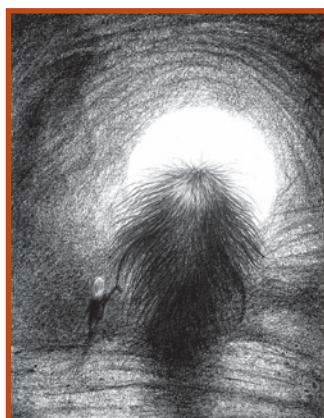
Kiedy wydawało się już, że nasz los jest przypieczętowany i nic nie może odwrócić nadciągającej ostatecznej katastrofy, wydarzyło się coś nieoczekiwane. Był ponury listopadowy dzień. Poranne wspólne śniadania od dawna przypominały stypy. Siedzieliśmy przygnębieni, bez apetytu skubiąc kromki chleba, bez przekonania usiłując zapobiec rozpadowi mocno zetkniętych rodzinnych więzi. I wtedy... Wtedy do jadalni wszedł wuj Genowef!

On, jak najbardziej on, jak dawniej, w tym samym staroświeckim surducie, co w dawnych szczęśliwych czasach. W tej samej kamizeli, w której kieszonce spoczywał złoty zegarek z kukułką. Te same obwisłe spodnie, buty, a nawet kapelusz, który założył tylko po, by go zaraz zdjąć na powitanie. A kiedy go zdjął, zobaczyliśmy wąsy, bez których wuj byłby niepełny, nie całkiem wujowski, pod nimi zaś promieniał uśmiech, który wnosił dawne światło w mroki, które omal nas nie pochłonęły. Wuj Genowef – nasz Prometeusz.

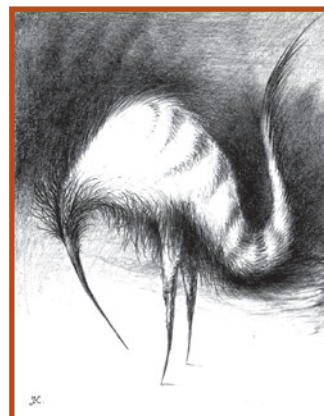
Wiedzieliśmy teraz z niezłomną pewnością, która w jednej chwili wlała nadzieję w nasze obumierające serca, że epoka smutku i upadku przeminęła.

Jacek Lauda

Wywiad aktualny.
Red.: Panie Jacku i co Pan na to?



Jacek: Czarno widzę.
Red.: A po wyborach?



Jacek: Czarno widzę.

Zasady współpracy

Przekazując materiały do redakcji czasopisma literackiego „Pegaz Lubuski” wydawanego non profit, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w wersji online,
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich,
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych,
- ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów,
- zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.

Nr 2 (81)
2020

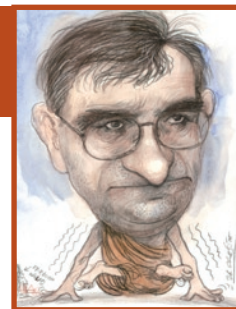


ISSN 1732-1069



CZASOPISMO LITERACKIE
pod auspicjami WiMBP i ZLP w Gorzowie Wlkp.

Red. nac.: Ireneusz Krzysztof Szmidt – tel. kom. 501 520 227.
Sekretarz red.: Danuta Zielińska – tel. 95 727 70 70. Współpraca: Jerzy Alski, Anna Dominiak, Beata P. Klary, Krystyna Kamińska, Ewa Rutkowska. Grafika i rysunki: Zbigniew Olchowik i Jacek Lauda. Zdjęcia: Bogdan Bloch, Jacek Buczyński, Ewa Kunicka, Kazimierz Ligocki, Marzena Maćkała, I.K. Szmidt, Grzegorz Tajsner oraz archiwa wydawcy i autorów. Wydawcy: ZO ZLP, WiMBP im. Zbigniewa Herberta, ul. gen. Wł. Sikorskiego 107, 66-400 Gorzów Wlkp., e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl. E-mail red. nac.: i.k.szmidt@wp.pl; www.zlp-gorzow.cba.pl. Skład komputerowy: Daniel Besta i I.K. Szmidt.



FERDYNAND GŁODZIK

ROZMAWIAMY O CHOROBACH

I
Konsumując cienką zupe,
na stołówce gdzieś w eFWuPe,
na turnusie wyczekany
szczęśliwi, zdiagnozowani.
Czując zwiewną lekkość duszy,
pośród tłumów kuracjuszy,
aby sprawnym być i zdrowym,
umilamy sobie pobyt.

Refren

Rozmawiamy o chorobach,
kroplach, czopkach i kapsułkach,
rozmawiamy o chorobach,
jak przyjaciel z przyjaciółką,
rozmawiamy o chorobach
refleksyjnie i z powagą,
rozmawiamy o chorobach,
o ischiaschu, o lumbago.
Wczoraj płuca oraz serce,
dzisiaj trzustka i wątroba,
o chorobach rozmawiamy,
rozmawiamy o chorobach.

II

Coraz bledsze wstają słońca,
turnus zbliża się do końca,
gromadzimy statystyki,
informacje i wyniki.
Gdy wstajemy wczesnym ranem,
już walizki spakowane,
mija nam ostatnia doba,
a my ciągle o chorobach.

Refren

Rozmawiamy o chorobach,
co się wszędzie skrycie czają,
rozmawiamy o chorobach,
co nocami spać nie dają.
O migrenie, bezsenności,
co zgubiło się w diagnozie,
rzeszotnieniu słabych kości,
czyli osteoporozie,
o żylakach, o kamicy,
o zatorach i o złogach,
o chorobach rozmawiamy,
rozmawiamy o chorobach.

Gorzów Wlkp., 23.07.2020 r.

(z inspiracji piosenką Haliny Zimmermann
„Rozmawiamy o pogodzie”)

FERDYNAND GŁODZIK

KORONAWIRUS W KACZYM SERAJU

W sławnym Kaczym Seraju u progu Edenu,
wielki sułtan panował, co nie miał haremu,
nie gromadził brylantów, luksusów ni złota,
a w pałacu jedynie perskiego miał kota.

Za to dwór jego liczny oraz okazały,
zdobny w broszki, klejnoty, co się należały,
wielu w nim dostojników, ministrów, etatów,
bo ten Seraj się składał z kilku emiratów.

Refren

Radio śławi potęgę Allacha,
Wielki Mufti wysiada z Maybacha,
nieustannie domaga się kasy,
a niewiernych by chętnie wziął w jasyr,
bijmy czołem, bo ciężka jest doła,
w tej ruinie podnieśmy się z kolan.

II

Smutne wieści nadeszły od wielu emirów;
Jest wróg w państwie, którego zwią koronawirus.
Wróg to bardzo okrutny, bezwzględny, pazerny,
którego nam przywlokły czeredy niewiernych.

To zaraza straszliwa, groźniejsza od trądu,
która ludzi zaraża i stada wielbłądów.
Muezini przez radio wołają na trwogę,
niechaj wróg ten przypadnie niech stawi go ogień

Refren

Radio śławi potęgę Allacha...

III

Aby wroga pokonać, uniknąć dramatu,
przywrócono w Seraju znów prawo szariatu.
Oto wróg dogorywa, mrą wraz pomory,
bowiem wszyscy w Seraju już noszą czadory.

Nikt już w mediach prawdziwej nie pokaże twarzy,
znowu będą się różnić, znów będą się swarzyć.
Czy się związki przyjazne w seraju rozpadną,
bo ich Sułtan połączył tylko błoną pławną?

Refren

Dzielny wezyr znów mieszać zaczyna,
potem mówi: To nie jego wina.
Divan radzi dniem całym i nocą,
tęgie głowy z wysiłku się poca,
tworzą nowe koncepty i cuda,
nikt już nie wie, jak grać na tych dudach.

Gorzów Wlkp., 18.04.2020 r.